Sąd zajmie się Zbigniewem Ziobrą. Kłopotom PiS nie widać końca

STRONA 3

Agnieszka Grochowska: Nie rozumiem, jak w ogóle można bić dzieci

STRONA 12-13

Prywatni detektywi. Trochę jak w filmie, trochę jak w życiu. Ale zawsze ciekawie

STRONA 16-17

POLSKA

METROPOLIA WARSZAWSKA

magazyn na święta

FOT. GETTY IMAGES

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

Poniedziałek, 22.12.2025
Nr 102 (2509) • Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)
Nr ISSN 1898-3081 • Nr indeksu 349-682

Boże Narodzenie, najpiękniejszy czas w roku. Co robić, żeby wykorzystać te dni jak najlepiej? W jaki sposób pokazać najlepszą wersję siebie?

Jak przygotować się do Wigilii

REKLAMA 0011448171

eprasa.pl 176856116b

AUTOPROMOCJA 0110987190

Już we wtorek
Puls na Święta

- Siedem wywiadów. Ekskluzywne rozmowy z najważniejszymi osobami ze świata polityki, kultury i sztuki
- Boże Narodzenie - lekcja paradoksu

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH

SZOPKI NA BOŻE NARODZENIE

Do tradycji bożonarodzeniowej należą między innymi szopki. Najczęściej są one wykonywane jako miniatury, ale bywają także konstrukcje rzeczywistej wielkości. Kultura ludowa krajów Europy zwykle sprawiała, że nawiązywały do kształtu i proporcji budowli wykorzystywanych jako nocne schronienie w danym kraju przez pasterzy, którzy „trzód swych strzegli", stąd mają nieco różniące się kształty w zależności od kraju, a nawet w zależności od regionu. W Polsce pod tym względem wyróżniają się szopki wykonywane przez górali. Zupełnym ewenementem są tradycyjne szopki krakowskie, których kształt nawiązuje do katedry Mariackiej znajdującej się na krakowskim Rynku, ale to jest wyjątek od reguły.

Na Bliskim Wschodzie, a także w południowych krajach Europy twórcy szopek nawiązują do historycznego faktu, że prawdziwym miejscem Narodzenia była grota w Betlejem, która służyła także jako szopa dla hodowanych zwierząt, ale która z chatami pasterskimi w rozumieniu europejskim nie miała żadnych wspólnych elementów. Grota to grota, więc jej odtworzenie (umowne) w owych szopkach jest całkiem odmienne.

Niezależnie od tego, jak owa szopka jest artystycznie odwzorowana - jej zawartość jest zawsze podobna. Zawsze dominują trzy postacie: małego Jezusa, Marii oraz Józefa. Dodatkowo bywają postacie Trzech Króli, pasterzy, aniołów, osiołków i owiec. Często jest też próba zasygnalizowania Gwiazdy Betlejemskiej, ale tu tradycja wywodząca się od Giotta (fresk w kaplicy dell'Arena w Padwie, 1305 rok) odtwarzania jej jako gwiazdy z ogonem (komety) przeczy faktom znanym astronomom.

Dużym powodzeniem cieszą się „żywe szopki", gdzie wystawiane są także żywe zwierzęta, a czasem także ludzie odgrywający określone role. Tradycja mówi, że pierwszą taką szopkę prezentować miał św. Franciszek w 1223 roku w Greccio. Większość szopek przedstawiana jest jako samotna chata (lub grota) bez szerszego tła. Są jednak także odmienne tradycje. W Neapolu na przykład wystawiane są szopki nazywane Presepe napoletano, w których wokół miejsca narodzenia Jezusa przedstawiony jest krajobraz z łatwą do identyfikacji architekturą Neapolu lub jego okolic. Można to interpretować jako proklamację: Chrystus narodził się u nas!

To zbliżenie unikatowego wydarzenia z szopki betlejemskiej do kontekstu rzeczywistości akcentowane jest w różnych krajach w różny sposób. Na przykład w Katalonii w pobliżu tradycyjnego układu figurek Jezusa, Marii i Józefa, na zewnątrz szopki konieczne jest dodanie figurki el Caganer (defekator) - człowieka wypróżniającego się. Dla nas szokujące, dla nich naturalne. Szopki budowane są najczęściej w kościołach i czasem w miejscach publicznych albo szopki pływające na jeziorze Wörthersee w Austrii. Ale Niemcy mają tradycję również szopek domowych, umieszczanych w salonie i często podziwianych przez sąsiadów. Podobna tradycja jest również kultywowana w Meksyku.

Obok szopek dużych, okazałych, tworzone są szopki miniaturowe, zachwycające tym, jak wiele treści można zawrzeć w bardzo małej formie. Artystą tworzącym szopki w łupinach orzecha jest Ferdinand Elighofer. Ciekawe są także szopki w postaci dioramy, czyli obrazu dwuwarstwowego. Oglądana przy odpowiednim oświetleniu przypomina trójwymiarową aranżację, a jest tylko obrazem.

JAK DZISIAJ MALOWAĆ BOŻE NARODZENIE?

Liliana Sonik
publicystka

Sztuka sakralna pogrążona jest w kryzysie. Wyjątki tylko potwierdzają regułę: jest źle. W kościołach króluje kicz - naiwny bądź pretensjonalny. A przecież stare świątynie wypełnione są pięknem.
W drewnianym wiejskim kościółku, czy w Santa Maria Maggiore, nawet jeśli nie lubimy konwencji, to czujemy energię przekazu. I trud dawnych mistrzów.

Już 100 lat temu dominikanin, malarz i teoretyk sztuki Marie-Alain Couturier twierdził, że „upadek sztuk sakralnych ma przyczyny duchowe i społeczne, lecz przyczyny artystyczne tkwią w akademizmie". Uważał, że sztukę niszczy tępe naśladownictwo. Odpowiedzią miała być odważna sztuka współczesna. Zaprzyjaźniony z artystami nakłonił ich by tworzyli dla kościoła w Assy, w Sabaudii. Zaangażowali się najsławniejsi. M.in. Marc Chagall, Henri Matisse, Pierre Bonnard, Fernand Leger, Georges Rouault, Georges Braque, a nawet komunizujący antyklerykał Jean Lurçat. Ogromna 'Apokalipsa' tego ostatniego robi niesamowite wrażenie, a dzieł wybitnych w Assy nie brak. Czy jednak dobrze pełnią swą rolę? Bo 30 lat później Couturier mówił, że „sztuka chrześcijańska nie zaistnieje tam, gdzie nie ma cywilizacji chrześcijańskiej".

Jan Paweł II pisał w Liście do Artystów, że w dziełach sztuki dostrzegamy „cień misterium stworzenia". Śmiałe porównanie. Zaledwie kilka razy w życiu stojąc przed dziełem sztuki poczułam cień doskonałości. Czasem były to dzieła niedowiarków albo pogan. Jak 'Boże Narodzenie' pędzla chuligana de la Toura, albo wspomniana już 'Apokalipsa'. Ale niesamowity „Święty Hugon w refektarzu kartuzów" to już obraz pobożnego Zurbarana.

Sprawa jest jeszcze bardziej zawiła. Bo zdarza się, że kilka lat po piorunującym poczuciu kontaktu z pięknem doskonałym, obraz już nie przemawia; jakby ktoś wyrwał mu duszę.

Czy zatem w relacji Sztuka - Kościół - Bóg - odbiorca - wszystko jest płynne i nie ma reguł? Moim zdaniem reguły są! I są dość sztywne. Odrzucam jednak klasyfikacje na poziomie gimnazjalnym. Zamiast pytać, czy wartościową sztukę religijną może tworzyć tylko artysta głęboko wierzący, trzeba pytać, czy artysta wie, co robi. Nie jestem od tego, żeby oceniać stopień cudzej wiary, albo niewiary. Za to mamy prawo żądać, żeby malarz / rzeźbiarz/ architekt podejmujący temat religijny wiedział o czym mówi i z czym się mierzy.

Żebyśmy się tylko nie pomyli... W sztuce sakralnej nie chodzi o efekciarską duchową dyskotekę. Dzieło ma odbiorcę inspirować, ma być impulsem by zwrócił swe spojrzenie ku tajemnicy. Wielcy mistycy mówią o Misterium tremendum i Misterium fascinosum - czyli o grozie i fascynacji spotkania z Bogiem, ale mówią też o nieskończonej cierpliwości i łagodności Boga.

Artysta tworzący do kościoła musi oczywiście znać swe rzemiosło. Ale kluczowa pozostaje reszta, czyli znajomość prawd i racji uzasadniających sens jego pracy.
A z tym jest licho, bo lichy jest poziom wiedzy, także wśród katolików. Za to w świadomości odbiorców tkwią na dobre i złe utrwalone modele ikonograficzne. Artyście nie zaszkodzi znajomość tradycji ikonograficznej, bo malarz nie musi iść śladem tradycji, jednak żeby z czymś polemizować, albo czemuś zaprzeczyć, powinien rozumieć naturę wyzwania.

Czy z tego wynika akceptacja służebności sztuki sakralnej wobec religii? A dlaczego nie? Czyż słowa 'kult' i 'kultura' nie mają tego samego rdzenia? Czy malarz wykonujący portret na zamówienie hańbi swą suwerenność? A ten, który projektuje na zamówienie ministerstwa albo muzeum?

Trzeba też pamiętać, że kryzysowi sztuki religijnej towarzyszy kryzys sztuki współczesnej w ogóle. Nie obejmuje naturalnie ani całej sztuki, ani wszystkich artystów, ale wyobcowanie jest jaskrawo widoczne. Bo sztuka skoncentrowana tylko na sobie, autoteliczna, traci oddech. Żeby zatem nie kręcić się wokół pustki, sztuka znalazła cel: stała się sztuką zaangażowaną, walczącą, publicystyczną... Unikając jednej służebności wpadła w gorsze zniewolenie. Wychodzi na to, że paradoksalnie zaangażowanie w obrazowanie tematów religijnych zostawia artystom więcej tlenu.

W każdym razie taki wniosek wysnuć można z wystawy „Boże Narodzenie" prezentowanej w podziemiach Katedry warszawsko-praskiej.
W ramach cyklu dość brawurowo nazwanego „Namalować katolicyzm od nowa" oglądamy 21 obrazów dziesięciorga artystów. Poddani rygorom tematu, nie zrezygnowali z własnego sposobu obrazowania. Nikt tu nie poddał się wypłaszczeniu czy zredukowaniu. Jak gdyby narzucone ramy paradoksalnie otwierały ich wrażliwość i wyobraźnię.

Z tematem Bożego Narodzenia z powodzeniem konfrontują się Beata Stankiewicz, Krzysztof Klimek, Jacek Hajnos, Jacek Dłużewski, Karolina Żądło, Ignacy Czwartos, Wojciech Głogowski, Grzegorz Wnęk, Bogna Podbielska oraz Jarosław Modzelewski. Szalenie ciekawa i piękna wystawa.

KROK W TYŁ

Łukasz Żygadło
publicysta

Państwo to nie scena do odgrywania osobistych urazów, lecz mechanizm, który musi działać nawet wtedy, gdy jego tryby zgrzytają. A już na pewno musi działać sprawnie wtedy, gdy bezpieczeństwo staje się sprawą pierwszej potrzeby, nie publicystyczną figurą. Polska, żyjąca w cieniu wojny za wschodnią granicą i narastającej globalnej niepewności, nie może pozwolić sobie na luksus otwartego konfliktu między prezydentem a premierem.

Konstytucja rozdziela ich kompetencje, ale nie rozdziela odpowiedzialności. Ta jest wspólna. Tymczasem obserwujemy politykę prowadzoną na konferencjach prasowych i w wywiadach, gdzie zamiast jasnych komunikatów dla obywateli i sojuszników pojawiają się aluzje, pretensje i wzajemne oskarżenia. Gdy premier Donald Tusk publicznie żali się w mediach na prezydenta, a Pałac Prezydencki odpowiada demonstracyjnym dystansem, powstaje obraz państwa skłóconego - nie pluralistycznego, lecz po prostu niespójnego.

A niespójność w polityce bezpieczeństwa to sygnał alarmowy. Sojusznicy nie analizują niuansów krajowych sporów, nie śledzą emocji kampanii ani medialnych przepychanek. Patrzą na jedno: czy Warszawa potrafi mówić jednym głosem w sprawach fundamentalnych - obrony, wojska, relacji międzynarodowych. Każdy dysonans jest czytelny nie tylko dla przyjaciół, lecz także dla tych, którzy uważnie wypatrują słabości i potrafią ją cynicznie wykorzystać.

Demokracja nie wymaga jednomyślności, ale wymaga dojrzałości. Spór jest jej naturalnym elementem, lecz w sprawach państwowych musi kończyć się tam, gdzie zaczyna się racja stanu. Polskie bezpieczeństwo nie może być zakładnikiem politycznych ambicji, partyjnych kalkulacji ani potrzeby wygrywania kolejnego medialnego dnia. To obszar, w którym cisza przy jednym stole bywa więcej warta niż najostrzejsza riposta przed kamerami.

Nie chodzi o sympatię ani o sztuczne rozejmy. Chodzi o elementarną zdolność współpracy. Bo państwo, w którym prezydent i premier nie potrafią się dogadać, samo wysyła światu sygnał słabości. A na taki sygnał Polska zwyczajnie nie może sobie pozwolić.

eprasa.pl 176856116b

Wszystkie kłopoty Jarosława Kaczyńskiego

Marcin Romanowski i Zbigniew Ziobro, a zwłaszcza ten drugi, to dla PiS spore obciążenie. A Kaczyński i bez tego ma sporo na głowie, bo notowania PiS od lat nie były tak słabe jak dziś

Dorota Kowalska

Prezes Kaczyński lekko nie ma. W partii trwa otwarta już wojna między poszczególnymi frakcjami, a tu jeszcze dzieje się wokół Zbigniewa Ziobry.

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa ma w poniedziałek rozpatrzyć wniosek o areszt dla niego. Przypomnijmy: na początku listopada Sejm uchylił Ziobrze immunitet i zgodził się na jego zatrzymanie i ewentualne tymczasowe aresztowanie. Śledczy zamierzają postawić byłemu ministrowi sprawiedliwości łącznie 26 zarzutów, w tym te - założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą oraz ustawiania i ręcznego sterowania konkursami na dotacje z Funduszu Sprawiedliwości. W momencie, kiedy śledczy stawiali Ziobrze zarzuty, ten przebywał na Węgrzech i już z nich nie wrócił. Chciał, żeby przesłuchano go albo w Budapeszcie albo w Brukseli, ale prokuratorzy odrzucili tę propozycję.

Ziobro pojechał więc do Brukseli, gdzie, jak twierdzi, mieszka i leczy się w związku z chorobą nowotworową. Tam też zatrudniona jest jako doradczyni europosłów PiS jego żona Patrycja Kotecka.

„Ja podróżuję po Europie, jestem wolnym człowiekiem, a ich ręce nie są w stanie mnie dosięgnąć" - to słowa Ziobry wygłoszone w telewizji wPolsce24.

O sprawie Ziobry mówił w „Faktach po Faktach" w TVN24 minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński.

- Mam nadzieję, że zostanie wydany nakaz aresztowania i mam nadzieję, że potem wystawiony zostanie też stosowny list gończy i pan Ziobro zostanie prędzej czy później będzie doprowadzony przed polski wymiar sprawiedliwości - stwierdził. - W tej sprawie trudno nie odnieść wrażenia, że sąd wyznaczył długi termin na to posiedzenie aresztowe. Ale mam nadzieję, że już w poniedziałek będziemy wiedzieli dokładnie, na czym stoimy - dodał.

I podkreślił, że „nigdy wcześniej w historii Polski po 1989 roku nie było takiej sytuacji, że były prokurator generalny, jego zastępca były minister sprawiedliwości uciekają z Polski, uciekają jak zwykli bandyci".

- To są rzeczy, o których będziemy kiedyś czytać w książkach od historii. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - podsumował.

W między czasie Sąd Okręgowy w Warszawie zdecydował o uchyleniu europejskiego nakazu aresztowania (ENA) wobec Marcina Romanowskiego, bliskiego współpracownika Ziobry, wiceministra sprawiedliwości odpowiedzialności właśnie za Fundusz Sprawiedliwości. Romanowski od roku przebywa na Węgrzech, dostał tam zresztą azyl polityczny.

W uzasadnieniu tej decyzji sędzia wskazał na „fakty drastycznego łamania porządku konstytucyjnego przez władzę wykonawczą w Polsce", czy „ferowanie orzeczeń sądowych zanim zostały one wydane". Napisał też, że „istnieją poważne obawy, że sytuację panującą obecnie w Państwie Polskim zakwalifikować można jako krypto dyktaturę".

Rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak Prokurator ocenił postanowienie sądu jako bezzasadne i zapowiedział, że „w najbliższym czasie zostaną podjęte dalsze kroki procesowe w tym zakresie".

Z kolei minister sprawiedliwości, prokurator generalny Waldemar Żurek oświadczył, że „prokuratura nie odstępuje od ścigania Marcina Romanowskiego i złoży ponowny wniosek o zastosowanie europejskiego nakazu aresztowania".

- Jeżeli sprawa ponownie trafi do tego samego sędziego, zostanie złożony wniosek o jego wyłączenie z uwagi na brak obiektywizmu - dodał.

Tak czy inaczej, znowu głośno o Funduszu Sprawiedliwości, Zbigniewie Ziobrze i jego najbliższych współpracownikach. To kłopot dla Prawa i Sprawiedliwości.

- Zbigniew Ziobro to jest polityk, który nie cieszy się specjalną sympatią w Polsce. Co więcej, nienajlepsza opinia czy nienajlepszy stosunek, czy wprost negatywny stosunek do niego nie jest tylko i wyłącznie domeną wyborców koalicji 15 października. Jest całkiem spora grupa osób sceptycznych wobec Ziobry i jego poczynań jako ministra sprawiedliwości, które są jednocześnie wyborcami Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji czy Grzegorza Brauna, czego skrajnym przykładem są transparenty na stadionach, które jeszcze pół roku temu uderzały w Trzaskowskiego, a dzisiaj krytykują Ziobrę - mówi mi ostatnio Marcin Duma, szef Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS. I dodał, że sprawa Ziobry to duże obciążenie dla Prawa i Sprawiedliwości, bo nawet jeśli Ziobro nie powoduje samych spadków notowań Prawa i Sprawiedliwości, to na pewno uniemożliwia odbudowę poparcia, czy tamowanie ucieczki wyborców Prawa i Sprawiedliwości do Brauna czy do Konfederacji.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Zbigniew Ziobro krąży między Budapesztem a Brukselą, ale w Polsce zajmuje się nim sąd, który w poniedziałek rozpatrzy wniosek o areszt dla niego

Bo prezes Kaczyński i bez Ziobry ma sporo na głowie.

Media od kilku już tygodni rozpisują się o walce przynajmniej dwóch frakcji w Prawie i Sprawiedliwości. Wszystko wzięło się stąd, że choć PiS wygrał wybory prezydenckie, w każdym razie wygrał je Karol Nawrocki popierany przez PiS, partia traci w sondażach. Politycy PiS dostrzegli więc potrzebę obrania nowego politycznego kursu, tyle, że jego poszukiwania zapoczątkowały nowe spory, które są pokłosiem starych. Jeden z nich toczy się między byłym premierem Mateuszem Morawieckim i jego ludźmi, nazywanymi też „harcerzami" a grupą tzw. maślarzy. Na czele tych drugich stoją Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński.

Określenie wzięło się stąd, że Bocheński uderzał w ekipę rządową za to, że w samolocie LOT-u z Frankfurtu do Polski podano mu masło „Deutsche Markenbutter", a nie polskiego producenta. LOT tłumaczył potem, że linie lotnicze najczęściej zaopatrują się porcie lotniczym startu.

To ludzie z frakcji Morawieckiego mieli tak nazwać swoich kolegów z partii, sami od lat nazywani są „harcerzami", bo wielu swego czasu działało w harcerstwie.

W każdym razie „maślarze" połączyli siły przy okazji rozmów o nowym programie, który PiS zamierza stworzyć na wybory parlamentarne w 2027 roku, w grupie, która miała nad nim pracować nie znalazł się Mateusz Morawickie, znaleźli się za to: Mariusz Błaszczak, Jacek Sasin, Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński i Patryk Jaki.

W Prawie i Sprawiedliwości doszło do prawdziwej burzy, interweniował Jarosław Kaczyński, tyle, że ponoć sam miał zatwierdzić brak obecności Morawieckiego w tym gronie.

Właśnie dlatego Mateusz Morawiecki nie pojawił się na spotkaniu organizowanym przez PiS pod nazwą „Myśląc Polska Alternatywa 2.0" - przynajmniej tak donosiły media.

Walki z czasem nabrały też bardziej publicznego charakteru. Jacek Sasin („maślarz"), zapytany w Radiu Zet, czy Mateusz Morawiecki nigdy nie będzie już kandydatem ugrupowania na premiera, stwierdził, że Morawiecki „reprezentuje w PiS bardziej centrowy nurt, wizerunek centrowy, a to nie jest to, czego oczekują wyborcy prawicy".

W odpowiedzi Morawiecki zamieścił uszczypliwy wpis w mediach społecznościowych.

„Czego oczekują wyborcy prawicy" - napisał dodając emotkę mrugnięcia i strzałkę w dół. Pod tekstem znalazło się zdjęcie Jacka Sasina.

Jarosław Kaczyńskiego widział co się dzieje, stąd pomysł, aby spotkać się na Nowogrodzkiej i przedyskutować, jak uspokoić nastroje.

Tyle tylko, że Mateusz Morawiecki nie pojawił się na posiedzeniu kierownictwa PiS. Był za to razem z byłą premierką Beatą Szydło i europosłem PiS, byłym prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem w Brzozowie w woj. podkarpackim. Spotykał się tam z wyborcami.

- Nie pamiętam, by ktoś tak jawnie zlekceważył słowo prezesa - mówili cytowani w mediach politycy PiS.

Chwilę później Onet ustalił, w PiS miało dojść do niespodziewanego sojuszu. Po wielu latach politycznego sporu, Mateusz Morawiecki i Beata Szydło mieli się dogadać.

- Szydło jest w partii na marginesie. Układ z „maślarzami" nic by jej nie dał, poza kolejną próbą zemsty na Morawieckim. „Maślarze" nie dają jej żadnych szans na powrót do gry w krajowej polityce - ocenił rozmówca Onetu.

Jak dodał, „sojusz z byłym premierem daje jej paradoksalnie szansę na powrót do gry, ponieważ w ten sposób pokazuje swoją autonomiczną pozycję i staje się jednym z graczy w rozgrywce wewnątrz PiS". Co więcej, „maślarzom" trudniej będzie atakować porozumienie dwojga byłych premierów.

O tym, jak bardzo PiS jest dzisiaj podzielony niech świadczy fakt, że w partii odbyły się trzy wigilie. Pierwszą zorganizował dla wszystkich prezes Kaczyński. Drugą, dla swoich ludzi, były premier Mateusz Morawiecki. Trzecią - były wicepremier Jacek Sasin i ponoć podczas dzielenia się opłatkiem z najbliższymi współpracownikami nie oszczędzał Morawieckiego.

Widać wyraźnie, że nastroje w Prawie i Sprawiedliwości są bardziej niż nerwowe. Notowania partii dawno nie były tak słabe. Jak wynika z badań 25 procent wyborców PiS z roku 2023 roku jest dzisiaj w gronie wyborców Konfederacji i Grzegorza Brauna. To nowość dla Prawa i Sprawiedliwości, którego pozycja na prawicy była dotąd niezagrożona. I pewnie stąd biorą się wszystkie kłopoty Jarosława Kaczyńskiego.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

Dyplomacja wahadłowa USA i Rosji

Na Florydzie odbyła się kolejna runda rozmów ws. zakończenia wojny Rosji z Ukrainą. Do Miami przyjechała rosyjska delegacja z Kiryłłem Dmitrijewem na czele. Poznała ona ofertę uzgodnioną przez USA, Ukrainę i Europę

Grzegorz Kuczyński

Kolejna runda konsultacji ze stroną amerykańską na temat wojny na Ukrainie rozpoczęła się już w piątek. Główny ukraiński negocjator, sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony tego kraju Rustem Umerow, poinformował: „Uzgodniliśmy z naszymi amerykańskimi partnerami dalsze kroki i kontynuację wspólnej pracy w najbliższym czasie". Nie podał więcej szczegółów.

Towarzyszył mu szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych gen. Andrij Hnatow. Na zaproszenie USA w ten format byli też zaangażowani partnerzy europejscy. Niewątpliwie jednak, ważniejsze były wyniki rozmów amerykańsko-rosyjskich w Miami.

Dyplomacja wahadłowa

W nowym centrum amerykańskiej „dyplomacji wahadłowej" odbyły się negocjacje, w których (choć nie przy jednym stole) wzięły udział wszystkie strony procesu: Stany Zjednoczone, Europa, Ukraina i Rosja. Ze strony amerykańskiej gości zagranicznych przyjął specjalny przedstawiciel i zięć Trumpa, czyli Steve Witkoff i Jared Kushner. Ukrainę reprezentował sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego Rustem Umerow. Przylecieli również Europejczycy - doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego przywódców Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii.

Z Rosji pojawił się specjalny przedstawiciel Władimira Putina, Kiryłł Dmitrijew – w sobotę odbył on dwustronne spotkanie z Amerykanami, podczas którego Witkoff i Kushner przedstawili mu nową wersję „planu zakończenia wojny", uzgodnioną na początku poprzedniego tygodnia z przedstawicielami Ukrainy.

Rosjanie jednoznacznie wykluczyli możliwość bezpośrednich negocjacji z przedstawicielami Ukrainy w Miami.

Niewiele wiadomo o szczegółach tych spotkaniach. W porównaniu z listopadem, kiedy anonimowe źródła zachodnich mediów relacjonowały przebieg negocjacji niemal na żywo, obecnie strony zminimalizowały wycieki informacji. Na początku tego tygodnia dziennikarze stopniowo dowiadywali się, jak zakończyły się dwudniowe negocjacje USA, UE i Ukrainy w Berlinie.

FOT. VYACHESLAV PROKOFYEV/AFP/EAST NEWS

Steve Witkoff razem z Kiryłłem Dmitrijewem podczas rozmów w Miami. Amerykanie i Rosjanie uznali to spotkanie za „konstruktywne" - ale przełom nie nastąpił

Gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa

Strony uzgodniły plan gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, który, przynajmniej w teorii, zadowolił Amerykanów, Europejczyków i Ukraińców. Podstawą planu jest odbudowa i wsparcie ukraińskiej armii na poziomie 800 tysięcy żołnierzy w czasie pokoju, gwarancje zobowiązujące Stany Zjednoczone i kraje europejskie do udzielenia wsparcia Kijowowi w przypadku nowej inwazji oraz rozmieszczenie w Ukrainie kontyngentów zbrojnych krajów europejskich. Jednak, jak wyraziły się źródła „New York Times", nie znamy szczegółów tego „w zasadzie uzgodnionego planu". A to, co wiadomo, budzi kilka zasadniczych wątpliwości.

Kluczowym punktem planu gwarancji jest rozmieszczenie w Ukrainie wojsk krajów europejskich. Rosja zawsze (ostatnio na początku tego tygodnia) nazywała to absolutnie niedopuszczalnym. Jednak źródła „NYT" wyraziły przekonanie, że Władimir Putin zgodzi się na to, jeśli kontyngenty europejskie zostaną rozmieszczone w Ukrainie nie pod egidą NATO. Nie wiadomo, na czym opiera się ten optymizm.

Warto jednak zauważyć, że w swoich długich i agresywnych wystąpieniach w ciągu następnych dwóch dni Putin nie wspomniał o niedopuszczalności rozmieszczenia zachodnich wojsk na Ukrainie, a rzecznik prasowy Putina Dmitrij Pieskow nawet dopuścił możliwość omówienia tej kwestii.

W planie wiele mówi się o gwarancjach dla Ukrainy, ale nie ma nic o tej części, której domagała się Rosja jako gwarancji bezpieczeństwa – czyli przede wszystkim o nieposzerzaniu NATO. Jednakże w pierwotnym 28-punktowym planie Trumpa, w którego opracowaniu uczestniczył Kiryłł Dmitrijew, ta część nie była szczegółowa.

W dokumencie napisano jedynie, że w zamian za obietnicę Rosji, że nie będzie ingerować w sprawy innych krajów, NATO zrezygnuje z dalszej ekspansji i obieca nie przyjmować Ukrainy, Ukraina zapisze w swojej konstytucji rezygnację z przystąpienia do NATO, a następnie Rosja i NATO, przy pośrednictwie Stanów Zjednoczonych, przeprowadzą dialog w sprawie rozwiązania wszystkich innych kwestii dotyczących bezpieczeństwa światowego.

Putin pręży muskuły

Główną kwestią, w której nie udało się osiągnąć porozumienia, pozostaje kwestia terytorialna. Rosja nadal domaga się od Ukrainy wycofania wojsk z pozostałej części obwodu donieckiego. Stany Zjednoczone proponują Kijowowi zgodę na wycofanie wojsk z Donbasu i utworzenie tam zdemilitaryzowanej „wolnej strefy ekonomicznej" pod kontrolą Rosji. Ukraina na razie odmawia.

Reakcja Putina na te negocjacje nie pozwala na razie zrozumieć, jak odnosi się on do możliwości zawarcia porozumienia na tych warunkach. Z jednej strony Putin spędził dwa dni na agresywnym demonstrowaniu pewności siebie i gotowości do kontynuowania wojny. Z drugiej strony powiedział, że Rosja jest gotowa zakończyć konflikt na drodze negocjacji, jeśli jej żądania zostaną spełnione. Nie ma w tym stanowisku nic nowego - Putin zajmuje je od momentu objęcia urzędu przez Donalda Trumpa i od tego czasu praktycznie się nie zmieniło.

Rosja wygrała ws. aktywów w Europie

Wojownicza część wystąpień Władimira Putina była skierowana przede wszystkim do uczestników szczytu UE w Brukseli, który zebrał się 18 grudnia, aby podjąć brzemienne w skutkach decyzję o tym, jak będą finansowane wydatki wojskowe i inne wydatki Ukrainy w 2026 roku. Potrzeby Kijowa na 2026 r. szacuje się na 70 mld euro, a po dojściu do władzy Donalda Trumpa ciężar ten w całości spadł na Unię Europejską.

Niemcy oraz kraje Europy Północnej i Wschodniej nalegały, aby do finansowania Ukrainy wykorzystać 210 mld euro zamrożonych w Europie rezerw rosyjskiego banku centralnego - wówczas Kijów otrzymałby pod ich zastaw nieoprocentowaną pożyczkę, którą musiałby spłacić po otrzymaniu reparacji od Rosji. Przeciwko temu wystąpiła Belgia, w której jurysdykcji znajdują się zamrożone rezerwy rosyjskie w depozycie Euroclear. Obawia się ona, że w każdej nieprzewidzianej sytuacji to ona będzie musiała zwrócić Rosji 210 mld euro.

W zamian Belgia, Włochy i kilka innych krajów promowało „plan B" – pomoc dla Kijowa w postaci nowych wspólnych pożyczek UE, gwarantowanych wspólnym budżetem Unii. Kanclerz Niemiec Friedrich Merz, który promował wykorzystanie rosyjskich aktywów, ostatecznie przegrał, a zwyciężył „plan B" – Europejczycy uzgodnili, że otworzą nową linię kredytową w wysokości 90 mld euro, która będzie wykorzystywana stopniowo. Negocjacje w sprawie wykorzystania rosyjskich aktywów będą kontynuowane.

AKCJA CHARYTATYWNA
0011434064

eprasa.pl 176856116b

0011448173

Domena .pl jako cyfrowa wizytówka – bezpieczeństwo, lokalność, wiarygodność

Dziś niemal każda relacja z marką, firmą czy organizacją zaczyna się w internecie. Zanim zadzwonimy, napiszemy maila czy złożymy zamówienie, najpierw sprawdzamy: kim są, jak się prezentują i czy można im zaufać. Właśnie dlatego domena internetowa przestała być technicznym dodatkiem, a stała się fundamentem obecności w sieci. To ona jest pierwszym sygnałem profesjonalizmu, wiarygodności i stabilności - między innymi dlatego warto postawić na domenę .pl.

Czym jest domena .pl i kto za nią stoi?
.pl to polska domena krajowa najwyższego poziomu (ang. ccTLD country code top-level domain). Jej operatorem jest Rejestr domeny .pl, działający w ramach NASK, instytutu odpowiedzialnego m.in. za rozwój i bezpieczeństwo polskiej infrastruktury internetowej. To ważne zaplecze instytucjonalne sprawia, że domena .pl funkcjonuje w oparciu o jasne zasady, wysokie standardy jakości i europejskie regulacje. Dla użytkownika oznacza to stabilność, przewidywalność i realne wsparcie ekspertów.

Statystyki i kontekst europejski
Domena .pl od lat znajduje się w czołówce europejskich domen krajowych – zarówno pod względem liczby aktywnych nazw, jak i stabilności działania. To potwierdzenie, że wybór domeny .pl jest decyzją opartą na sprawdzonych rozwiązaniach, a nie chwilowym trendzie.

Zgodnie z danymi Rejestru domeny .pl, obecnie w NASK zarejestrowanych jest ponad 2,5 mln domen .pl. W 2024 roku Rejestr odnotował znaczny wzrost liczby aktywnych nazw. Zarejestrowano wtedy niemal 770 tysięcy domen więcej w porównaniu z rokiem poprzednim. To ponad 2 tysiące rejestracji dziennie! Rosnąca popularność domeny z końcówką .pl umacnia stabilną pozycję Polski w czołówce europejskich rejestrów krajowych.

Dlaczego domena .pl buduje zaufanie?
Z perspektywy odbiorcy domena .pl to jasny komunikat: „działamy w Polsce, znamy lokalny rynek, podlegamy europejskim zasadom". W czasach, gdy użytkownicy są coraz bardziej wyczuleni na oszustwa i fałszywe strony, taka transparentność ma ogromne znaczenie. Domena .pl wzmacnia wiarygodność, skraca dystans i buduje poczucie bezpieczeństwa – szczególnie w relacjach z polskimi klientami i partnerami.

Strona www a profile w mediach społecznościowych
Media społecznościowe są ważnym narzędziem komunikacji, ale nie zastąpią własnej domeny. Profil w serwisie społecznościowym nie należy w pełni do marki – podlega regulaminom, algorytmom i decyzjom platform. Strona internetowa oparta na własnej domenie .pl to niezależna i stabilna forma obecności online – miejsce, nad którym właściciel ma pełną kontrolę i które może rozwijać zgodnie ze swoją strategią.

Bezpieczeństwo domeny .pl
Jednym z kluczowych atutów domeny .pl jest bezpieczeństwo. Rejestr domeny .pl spełnia międzynarodowe normy ISO, co potwierdza wysoką jakość operacyjną i stabilność systemów. Domena .pl jest także zgodna z wymogami dyrektywy NIS2. Dodatkowo użytkownicy nazw domeny .pl mogą korzystać z rozwiązań, takich jak DNSSEC, które m.in. chroni przed przechwyceniem ruchu internetowego, czy też .pl Registry Lock – zabezpieczenia uniemożliwiającego nieautoryzowane zmiany dotyczące domeny.

IDN – domeny z polskimi znakami
Rejestr domeny .pl umożliwia rejestrację nazw z polskimi znakami diakrytycznymi, takimi jak ą, ć czy ł. To rozwiązanie pozwala jeszcze lepiej oddać nazwę marki, miejscowości czy inicjatywy i wzmocnić jej lokalny charakter. W wielu przypadkach to właśnie domena z polskimi znakami jest najbardziej naturalna i czytelna dla odbiorcy.

Korzyści biznesowe i wizerunkowe
Własna domena .pl to inwestycja w profesjonalny wizerunek. Ułatwia budowanie zaufania, wzmacnia rozpoznawalność marki i wspiera długofalowe relacje z klientami. Jest też podstawą działań marketingowych, sprzedażowych i komunikacyjnych – niezależną od zmiennych warunków platform zewnętrznych. Domena staje się cyfrową wizytówką, która pracuje na reputację marki każdego dnia.

Jak zarejestrować domenę lub zostać rejestratorem?
Rejestracja domeny .pl jest prosta i dostępna dla każdego. Firmy zainteresowane współpracą mogą przystąpić do Programu Partnerskiego NASK i zostać rejestratorem nazw domeny .pl.

Domena to dziś znacznie więcej niż element adresu strony internetowej. To fundament zaufania, bezpieczeństwa i profesjonalizmu w sieci. Domena .pl łączy lokalność z najwyższymi europejskimi standardami. Dlatego coraz częściej to właśnie .pl staje się świadomym wyborem marek, firm i organizacji.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

FOT. PAP/EPA/ATEF SAFADI

Bazylika Narodzenia Pańskiego w Betlejem znów przyciąga wiernych

BETLEJEM. DOM CHLEBA, DOM POKOJU

Po dwóch Bożych Narodzeniach przeżytych bez pielgrzymów i bez uroczystych celebracji, wszyscy w Betlejem oczekują powrotu pielgrzymów na Boże Narodzenie

br. Francesco Patton, Vatican News

W miarę zbliżania się Bożego Narodzenia myśli i serca chrześcijan na całym świecie zwracają się ku Betlejem – miasteczku oddalonemu zaledwie o kilka kilometrów od Jerozolimy. Choć obecne bariery fizyczne i geopolityczne coraz bardziej je izolują, a w ostatnich latach liczba odwiedzających drastycznie spadła z powodu wojny, Betlejem pozostaje jednym z najważniejszych celów pielgrzymkowych.

Próbując opowiedzieć o bogactwie historycznym, archeologicznym i duchowym tego miasta oraz o jego sercu, którym jest bazylika Narodzenia Pańskiego wraz z Grotą, w której Maria wydała na świat Jezusa, i z Żłóbkiem, w którym położyła Go, owinąwszy w pieluszki, jestem szczególnie dłużnikiem opracowania współbraci Heinricha Fürsta i Gregora Geigera Ziemia Święta. Przewodnik franciszkański dla pielgrzymów i podróżnych (Heinrich Fürst - Gregor Geiger, Terra Santa. Guida francescana per pellegrini e viaggiatori. Terra Santa Edizioni, Mediolan 2018), będącego z pewnością najbardziej kompletnym przewodnikiem po Miejscach Świętych.

„Betlejem", nazwa miasta, jest bogata w historyczne i językowe warstwy znaczeń. W języku hebrajskim Bet Lechem tradycyjnie tłumaczy się jako „dom chleba", lecz może ona wywodzić się z jeszcze starszego rdzenia – „dom Lachamu", starożytnego lokalnego bóstwa. Faktycznie jednak interpretacja jako „dom chleba" zapowiada Jezusa jako Chleb Życia.

Arabska nazwa miasta, Beit Lahm, oznacza natomiast „dom mięsa". Także to odczytanie posiada głęboką i znaczącą wymowę teologiczną, ponieważ właśnie w Betlejem – przywołując słowa św. Franciszka – Syn Boży „z łona Dziewicy Maryi przyjął prawdziwe ciało naszej ludzkiej natury i kruchości".

Ludność Betlejem ulegała głębokim przemianom na przestrzeni wieków. Mimo to chrześcijański charakter Betlejem pozostaje wyraźnie widoczny, co można dostrzec już na pierwszy rzut oka po licznych dzwonnicach na horyzoncie. Z „Placu Żłóbka" można zobaczyć m.in. syryjsko-ortodoksyjny kościół poświęcony Matce Bożej, protestancki kościół Narodzenia oraz nowy kościół Melchitów (katolików obrządku bizantyjskiego).

W samym centrum i sercu miasta, otoczona klasztorami grecko-ortodoksyjnym i ormiańskim oraz klasztorem franciszkańskim, znajduje się bazylika Narodzenia Pańskiego. Chrześcijański charakter miasta jest uznany również na płaszczyźnie politycznej – do tego stopnia, że na mocy dekretu prezydenta palestyńskiego burmistrz Betlejem musi być chrześcijaninem. Podobnie jak w całej Ziemi Świętej, lokalna wspólnota chrześcijańska ma charakter ekumeniczny: największe grupy stanowią katolicy obrządku łacińskiego (około 5 tys. osób) oraz grekokatolicy i grekokatolicy, którym towarzyszą grekokatolicy, Ormianie, syryjsko-ortodoksyjni i syryjsko-katoliccy, Koptowie oraz luteranie.

Lokalna gospodarka jest tradycyjnie związana z turystyką religijną – działalnością, która w ostatnich dziesięcioleciach (a szczególnie w ostatnich latach) została poważnie dotknięta przez niestabilność polityczną, pandemię i wojny. Większość chrześcijan pracuje przy przyjmowaniu i oprowadzaniu pielgrzymów, a także przy produkcji i sprzedaży pamiątek z drewna oliwnego i masy perłowej – rzemiosła wprowadzonego i rozwijanego przez franciszkanów od XVI wieku.

Konkretne miejsce narodzin jest od najdawniejszych czasów identyfikowane z grotą. Po raz pierwszy wspomina o niej filozof i męczennik Justyn (ok. 100 r. po Chr. – Rzym między 163 a 167 r.), który w Dialogu z Tryfonem (78,5), napisanym około 150 r., przekazuje następującą informację: „Dziecię narodziło się w Betlejem. Ponieważ Józef nie wiedział, gdzie się zatrzymać w tej wiosce, schronił się w pobliskiej grocie. A gdy tam byli, Maryja porodziła Chrystusa i położyła Go w żłobie".

Również apokryficzna Ewangelia o pochodzeniu judeochrześcijańskim, Protoewangelia Jakuba, napisana w połowie II wieku, mówi o grocie w pobliżu Betlejem jako miejscu narodzin Jezusa: „Gdy byli w połowie drogi, Maryja rzekła do Józefa: «Zdejmij mnie z oślicy, bo to, co jest we mnie, przynagla mnie, by wyjść na świat». On zdjął ją z oślicy i powiedział: «Gdzie cię zaprowadzę, aby ukryć to, co jest dla ciebie wstydliwe? To miejsce jest odludne». Lecz znalazł tam grotę i wprowadził ją do środka" (Prot Jak 17,3-18,1).

W czasach panowania cesarza Hadriana (117-138 po Chr.), podobnie jak miało to miejsce w przypadku Grobu Świętego w Jerozolimie, także w Betlejem podjęto próbę stłumienia kultu miejscowej wspólnoty chrześcijańskiej, wznosząc nad grotą świątynkę greckiego boga Adonisa wraz z przylegającym świętym gajem. Około 248 roku wielki teolog Orygenes dawał świadectwo: „Jeśli chodzi o fakt, że Jezus narodził się w Betlejem, jeśli ktoś pragnie jeszcze innych dowodów, oprócz proroctwa Micheasza i ewangelicznego opisu uczniów Jezusa, wystarczy zauważyć, że zgodnie z przekazem Ewangelii do dziś w Betlejem wskazuje się grotę, w której narodził się Jezus, a w grocie żłób, w którym został owinięty w pieluszki. A rzecz ta jest w tamtych stronach tak powszechnie znana, że nawet wrogowie wiary przyznają, iż właśnie w tej grocie narodził się ów Jezus, który jest przedmiotem czci i podziwu chrześcijan" (Contra Celsum, I,51).

Nad Grotą Narodzenia wzniesiono pierwszą wielką bazylikę o pięciu nawach z ośmiokątnym prezbiterium. Najnowsze wykopaliska sugerują, że pierwotna budowla była tylko nieznacznie krótsza i równie szeroka jak obecna. Jej struktura, być może uszkodzona przez pożar (prawdopodobnie podczas powstania samarytańskiego w 529 r. po Chr.), została następnie odbudowana. Tradycja - nie w pełni potwierdzona przez archeologię - głosi, że cesarz Justynian (VI wiek) zburzył starą świątynię, aby wznieść nową, większą i piękniejszą.

Kluczowym wydarzeniem w dziejach zachowania bazyliki był rok 614, kiedy Persowie, najeżdżając Ziemię Świętą i niszcząc niemal wszystkie kościoły, oszczędzili bazylikę Narodzenia Pańskiego. Legenda opowiada, że stało się tak dlatego, iż na mozaikach fasady zobaczyli oni wizerunki Mędrców ubranych w stroje podobne do ich własnych. To cudowne ocalenie oraz późniejsze uratowanie świątyni w 1009 roku przed niszczycielskim gniewem egipskiego kalifa Al-Hakima umocniły jej sławę jako miejsca szczególnie chronionego.

Gdy krzyżowcy przejęli kontrolę nad Betlejem w 1099 roku, pierwsi władcy Królestwa Jerozolimskiego, Baldwin I i Baldwin II, wybrali Betlejem, a nie Jerozolimę, jako miejsce swoich koronacji (odpowiednio w 1100 i 1118 roku): „Najbardziej przekonujące wyjaśnienie tego wyboru daje legenda o Herakliuszu: trudno było przywdziać królewską koronę tam, gdzie Król Mesjasz nosił koronę cierniową" (Fürst-Geiger, dz. cyt., 706/1021). Krzyżowcy ograniczyli się do ponownego udekorowania istniejącej struktury. W 1335 roku franciszkanie przejęli od kanoników augustiańskich posługę wobec pielgrzymów, osiedlając się na stałe w 1347 roku i fortyfikując klasztor.

W późnym średniowieczu bazylika popadła w opłakany stan, niemal została opuszczona. W 1480 roku dominikanin Feliks Fabri opisywał ją jako „zbezczeszczoną, całkowicie pozbawioną lamp; przypominała spichlerz" (tamże). Dzięki zaangażowaniu franciszkanów podjęto wielki wysiłek restauracyjny przy wsparciu Republiki Weneckiej (belki nośne), Burgundii (transport) oraz Anglii (ołów na pokrycia dachowe).

Współwłasność franciszkanów trwała do 1637 roku, kiedy rozpoczęły się spory, które doprowadziły w 1757 roku do przekazania administracji kościoła oraz części groty greckim prawosławnym. Kolejne epizody napięć, konfliktów oraz interwencji, także dyplomatycznych, których kulminacją było usunięcie w 1847 roku srebrnej gwiazdy z groty (później przywróconej), skłoniły władze osmańskie do wydania w 1852 roku dekretu znanego jako „Status Quo", obowiązującego do dziś. Dekret ten nakazuje ścisłe poszanowanie praw i obowiązków własności oraz użytkowania miejsc świętych przez trzy główne wspólnoty: grecko-prawosławną, katolicką (rzymską/franciszkańską) oraz ormiańską apostolską.

Bazylika Narodzenia Pańskiego jest otoczona klasztorem Greków i Ormian oraz konwentem franciszkanów Kustodii Ziemi Świętej, z przylegającym kościołem poświęconym św. Katarzynie Aleksandryjskiej i domem pielgrzyma (Casa Nova). Cały kompleks sprawia wrażenie twierdzy. Charakterystycznym elementem fasady jest najmniejszy portal wejściowy na świecie, mający zaledwie 130 cm wysokości. To wejście, pierwotnie monumentalny portal z czasów Justyniana, zostało najpierw zmniejszone przez krzyżowców, a następnie dodatkowo zamurowane około 1500 roku, aby zapobiec profanacji świątyni poprzez wykorzystywanie przedsionka jako stajni dla koni lub wielbłądów. Dziś stanowi ono wymowny symbol teologiczny i nazywane jest „drzwiami pokory": wszyscy, bez względu na rangę, muszą się pochylić, aby wejść do miejsca, w którym Syn Boży uniżył się i stał się dzieckiem dla naszego zbawienia.

Wnętrze bazyliki uderza rozległością i harmonią (26 × 54 metry) pięciu naw. Wzdłuż naw 28 kolumn z epoki krzyżowców (XII wiek) ozdobionych jest malowanymi wizerunkami świętych, którym towarzyszą inskrypcje w języku greckim i łacińskim. Ikonografia ta jest niezwykle eklektyczna i odzwierciedla szerokie spektrum ówczesnych form pobożności. Znajdujemy tu szereg świętych Zachodu: św. Katalda (biskupa Tarentu), Leonarda z Limoges, apostołów Jakuba i Bartłomieja, króla Olafa z Norwegii oraz króla Knuta z Danii. Obok nich obecni są także święci Wschodu i lokalni: św. Jerzy, ojcowie monastycyzmu – Eutymiusz, Antoni i Makary – a także św. Saba i św. Teodozjusz.

Prawdziwym wyzwaniem dzisiaj nie jest jedynie utrzymanie i restauracja zabytkowych przestrzeni; prawdziwym wyzwaniem jest zachowanie chrześcijańskiej obecności w Betlejem – obecności dwutysiącletniej i ekumenicznej. Niestety, oddzielenie Betlejem od Jerozolimy, budowa muru, punkty kontrolne, które utrudniają dostęp pielgrzymom, a jeszcze bardziej codzienne przemieszczanie się mieszkańców, a także osiedla osadników, które w ostatnich latach gwałtownie rozrosły się wokół miasta, coraz bardziej duszą wspólnotę, która tam żyje.

Po dwóch Bożych Narodzeniach przeżytych bez pielgrzymów i bez uroczystych celebracji, przy zgaszonych światłach i w atmosferze wojny, wszyscy w Betlejem oczekują powrotu pielgrzymów na zbliżające się święta Bożego Narodzenia, aby móc wspólnie – chrześcijanie miejscowi i chrześcijanie z całego świata – celebrować wydarzenie, które zmieniło historię: narodziny Dzieciątka Jezus, Syna Bożego wcielonego i narodzonego z Dziewicy Maryi.

eprasa.pl 176856116b

JAK WYGLĄDA BOŻE NARODZENIE W CHINACH

Boże Narodzenie w kraju Dalekiego Wschodu to moment intymnej radości. Chińczycy ciągle odkrywają te święta

Guglielmo Gallone, Watykan (Vatican News)

FOT. EAST NEWS

Świąteczne dekoracje w centrum handlowym w Szanghaju. W Chinach Wigilia nazywana jest Píng'ān yè (nocą pokoju) i ciągle zyskuje na popularności

W ciągu ostatnich dwudziestu lat Boże Narodzenie na stałe wpisało się w krajobraz miejski Chin. Dekoracje bożonarodzeniowe są coraz bardziej widoczne. Interesujące jest to, jak wzrost popularności tego święta idzie w parze z rozwojem gospodarczym i społecznym kraju.

Aspekt ekonomiczny i produkcyjny

Początkowo Chiny znały Boże Narodzenie przede wszystkim jako „fabrykę świata". Potwierdza to najbardziej dobitnie fakt, iż od 80 do 90 procent wszystkich globalnych dekoracji świątecznych światełek, bombek, sztucznych choinek - jest do dziś produkowanych w chińskich strefach przemysłowych, z których szczególnie wyróżnia się miasto Yiwu w prowincji Zhejiang. Boże Narodzenie pojawia się więc w pierwszej kolejności jako cykl produkcyjny, a dopiero w drugiej jako święto.

Jednak z czasem dobrobyt w Chinach zaczął rosnąć. W latach 2005-2020 dostępny dochód miejski wzrósł ponad czterokrotnie, klasa średnia przekroczyła 400 milionów osób, a konsumpcja wewnętrzna stała się jednym z celów strategicznych.

W pierwszej dekadzie XXI wieku Chińczycy nie tylko produkują, ale przede wszystkim zaczynają konsumować: otwierają działalności, odwiedzają centra handlowe, przekształcają przestrzeń miejską. I to właśnie w tym momencie Boże Narodzenie zmienia swój charakter - z czysto produkcyjnego wydarzenia staje się ono przestrzenią handlową i symboliczną, szczególnie dla młodych ludzi.

Między jarmarkami a wioskami bożonarodzeniowymi

Dziś jest całkowicie normalne spacerować po Szanghaju i natknąć się na jarmarki bożonarodzeniowe zorganizowane w dużych centrach handlowych Xintiandi lub wzdłuż Bundu, między drewnianymi chatkami, dekoracyjnymi światłami i muzyką w tle.

Nie tylko to. W najbardziej północnym mieście Chin, Mohe (prowincja Heilongjiang), powstała prawdziwa wioska bożonarodzeniowa, gdzie odwiedzający mogą zanurzyć się w świątecznej atmosferze. Znajduje się tam poczta Świętego Mikołaja, rzeźby ze śniegu, udekorowane chatki oraz postacie Świętego Mikołaja, z którymi można robić zdjęcia. Wszystko to zorganizowane w miejscu często opisywanym jako chińska wersja słynnej wioski Świętego Mikołaja w Rovaniemi w Finlandii.

Blask, który przyciąga

Oczywiście wszystko to dzieje się wyłącznie w ramach ekonomicznej perspektywy. Jednak wielu młodych Chińczyków jest przyciąganych przez blask, jaki niesie Boże Narodzenie. I nie jest mało tych, którzy są zaciekawieni kościołami, próbując zrozumieć, co sprawia, że chińscy chrześcijanie są nosicielami tak wielkiej radości.

Opowiedział nam o tym jeden z młodych miejscowych. „Chociaż okres Bożego Narodzenia w Chinach nie jest obchodzony tak jak w krajach europejskich, również dlatego, że trzeba pracować, Msza św. o północy zawsze jest sprawowana przy pełnym kościele, a szczególnie w małych wsiach potrafi przyciągnąć uwagę młodych ludzi. Zazwyczaj odprawiane są trzy Msze św.: czuwanie, o północy i bożonarodzeniowa".

Co więcej, dodaje, „jednym z najbardziej cenionych momentów jest ten pomiędzy czuwaniem a Mszą św. o północy. Kościół szczególnie podkreśla tę przerwę: wierni, którzy przygotowali przedstawienie, mogą je zaprezentować, chór śpiewa, ludzie odmawiają modlitwy o pokój, księża wygłaszają kazania...".

Jabłko na noc pokoju

A gdy prosimy go, by opowiedział nam więcej o tym szczególnym momencie, młody mężczyzna wspomina, że na przedstawienia z pieśniami sakralnymi, albo poświęcone historii Kościoła, narodzinom Jezusa, bardzo wiele osób przychodzi tylko po to, by posłuchać śpiewu chórów. To już stało się zwyczajem. We wsiach nie potrzeba nawet rozgłosu z ust do ust.

Dodaje także, że księża i wierni przygotowują małe prezenty dla młodych Chińczyków. Nie czekoladki ani gadżety, lecz jabłka. „Po chińsku jabłko to pínggu , słowo, które brzmieniowo nawiązuje do píng'ān, czyli „pokój". To nie przypadek: Wigilia Bożego Narodzenia nazywana jest Píng'ān yè (nocą pokoju). Ofiarowanie jabłka staje się więc prostym i uniwersalnym życzeniem. Kościół lokalny nie krytykuje społeczeństwa chińskiego, raczej stara się do niego dostosować. Kolejny przykład: w naszych szopkach często umieszczamy elementy tradycyjne, charakterystyczne dla kultury lokalnej. Lampy, małe świątynie..." - opowiada.

Oczekiwanie na światło

Pomimo trudności, Boże Narodzenie w Chinach wydaje się być zatem bardzo żywe. „Dla katolików mojego kraju – zauważa Chiaretto Yan, chiński członek Ruchu Focolari i autor książki „Moje chińskie marzenie" (Ancora 2025) – Boże Narodzenie jest intymną radością.

„Powiedziałbym, że Chińczycy przeżywają Boże Narodzenie tak, jakby było jeszcze Wielką Sobotą: czyli w oczekiwaniu. Boże Narodzenie to oczekiwanie światła, tak jak Wielka Sobota to oczekiwanie zmartwychwstania. Myślę, że to samo dotyczy dialogu między chrześcijaństwem a kulturą chińską: ważne jest rozpoczęcie procesu, a nie natychmiastowe szukanie czy osiąganie rezultatu" - opowiada.

Logika małości

Życzenie, które staje się namacalne w obrazie, przytoczonym także przez inne źródła: wielu chińskich wiernych, którzy w Wigilię Bożego Narodzenia modli się przez całą noc. Obraz trudny do zobaczenia gdzie indziej, świadczący o cierpliwości i oczekiwaniu.

Zasady te, według chińskiej filozofii sprowadzają się do tego, by nie działać przeciwko czasowi rzeczy, nie wymuszać biegu wydarzeń, ale towarzyszyć ich rozwojowi. Trochę jak Józef i Maria, którzy towarzyszyli narodzinom Jezusa. W grocie, w mniejszości, w małości. A nawet – w małości. W tej „logice małości", którą Papież Leon XIV przywołał podczas swojej podróży do Turcji i Libanu, a którą chińscy wierni starają się wcielać w życie każdego dnia. A zatem – shèngdàn jié kuàilè (wesołych świąt Bożego Narodzenia)!

W NAJBARDZIEJ PÓŁNOCNYM MIEŚCIE CHIN, MOHE POWSTAŁA WIOSKA BOŻONARODZENIOWA, GDZIE MOŻNA ZANURZYĆ SIĘ W ŚWIĄTECZNEJ ATMOSFERZE

REKLAMA 0411243884

Świąteczne zakupy
w Centrum Mody Nadarzyn
DOBRY WYBÓR

Czynne w każdą NIEDZIELĘ niektóre sklepy

CM ELEGANCJA

Aleja Katowicka 51, Nadarzyn
tel. 22 739 55 00

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

KRÓTKA HISTORIA SZOPKI NA BOŻE NARODZENIE

Przedstawienia narodzin Jezusa w formie szopki narodziły się dość późno – dopiero w średniowieczu. Pierwszą taką scenę zaaranżował św. Franciszek w 1223 roku

Mariusz Grabowski

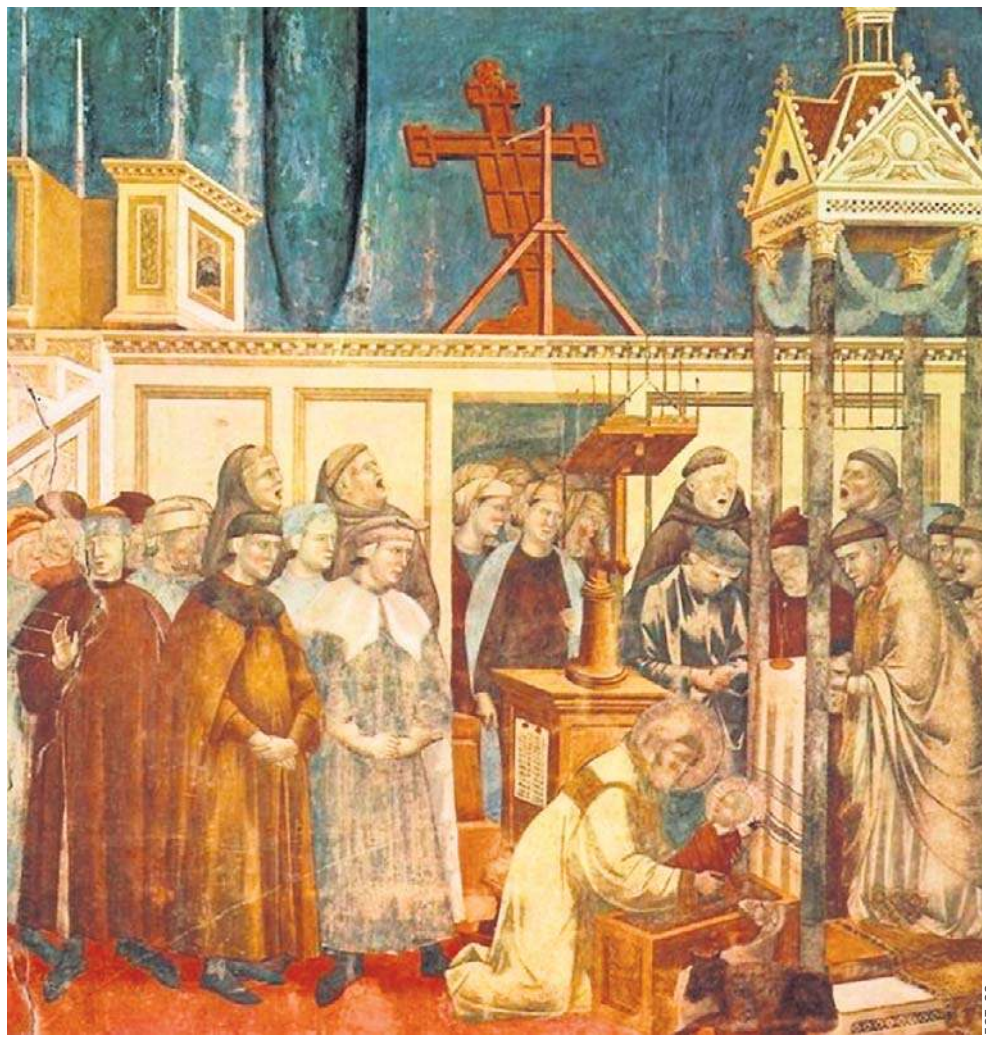

FOT. CC

Fresk przedstawiający pierwszą szopkę przygotowaną przez św. Franciszka w Greccio

W każdej szopce obowiązkowo znajdują się mały Jezus, Maria oraz Józef. Do tego Trzej Mędrcy z darami, pasterze i aniołowie grający na trąbach. Nierzadko elementami szopki są także zwierzęta: wół, osioł i owce. Nad całością symbolicznie góruje Gwiazda Betlejemska.

„Był wół i osioł"

Przenieśmy się do Greccio sprzed 800 lat. Bł. brat Tomasz z Celano, pierwszy biograf św. Franciszka, zapisał: „Noc stała się widna jak dzień, rozkoszna dla ludzi i zwierząt. Przybyły rzesze ludzi, ciesząc się w nowy sposób z nowej tajemnicy. Głosy rozchodziły się po lesie, a skały odpowiadały echem na radosne okrzyki. Bracia spieszyli, oddając Panu należne chwalby, a cała noc rozbrzmiewała okrzykami wesela. Święty Boży stał przed żłóbkiem, pełen westchnień, przejęty czcią i ogarnięty przedziwną radością. Ponad żłóbkiem kapłan odprawiał uroczystą Mszę świętą, doznając nowej pociechy.

Święty Boży ubiera się w szaty diakońskie, był bowiem diakonem, i donośnym głosem śpiewa świętą Ewangelię. A jego głos mocny i słodki, głos jasny i dźwięczny, wszystkich zaprasza do najwyższych nagród. Potem głosi kazanie do stojącego wokół ludu, słodko przemawiając o narodzeniu ubogiego Króla i małym miasteczku Betlejem".

Jak wyglądała pierwsza szopka? Na freskach, które powstały później, wygląda całkiem jak dzisiejsza, ale z opisu br. Celano wynika, że była wyjątkowo skromna. „Był wół i osioł, dwie żywe istoty, a w żłóbku św. Franciszek położył figurkę Pana Jezusa". To zresztą logiczne – św. Franciszek podpatrzył ten sposób naocznej ewangelizacji w obnośnych i wędrownych teatrzykach kukiełkowych, które przemierzając bezdroża Lacjum, z konieczności były skromne, wręcz symboliczne.

Jezus miał ciało

Jak lud przyjął religijny eksperyment św. Franciszka? „Pewien cnotliwy mąż miał dziwne widzenie. Widział w żłóbku leżące dzieciątko, bez życia, ale kiedy Święty Boży zbliżył się doń, ono jakby ożyło i zbudziło się ze snu. To widzenie nie jest nieodpowiednie, gdyż w wielu sercach dziecię Jezus zostało zapomniane. Dopiero Jego łaska, za pośrednictwem sługi świętego Franciszka, sprawiła, że zostało w nich wskrzeszone i utrwalone w kochającej pamięci" – notował br. Celano.

W powyższym doszukać się można religijnych sporów epoki średniowiecza. W czasach św. Franciszka katarzy i inni negowali to, że Jezus narodzony z Dziewicy na ziemi miał rzeczywiste fizyczne ciało. Tak samo negowali rzeczywistą obecność Jezusa w „Ciele" Eucharystycznym, który rodzi się co dzień na ołtarzu.

W Greccio św. Franciszek nie tylko wymyślił nowy sposób ewangelizacji w formie teatru jasełkowego, ale dał niejako wyraz swojej wierze w człowieczeństwo Jezusa. Ponadto pokazał, że ten, który narodził się w Betlejem, ponownie – jak uczy doktryna – rodzi się podczas każdej Mszy św.

Szopka z Neapolu

Historycy Kościoła dowodzą, że misteria Bożego Narodzenia były znane już w X w. we Francji, Szwajcarii, Niemczech, Belgii i Północnej Italii. Taką szopką była np. szopka neapolitańska, która stanęła po raz pierwszy pod koniec XIII w. w kościele Santa del Presepe. Szopki w Neapolu wykonuje się do dziś z malowanej terakoty, rzadziej z korala lub muszli morskich. Scenerią jest architektura miasta bądź krajobraz jego okolic.

Swoistą nowością było jednak połączenie misteriów bożonarodzeniowych (jasełek) z celebracją Mszy św. (pasterka). Owe misteria nie posiadały jeszcze fabuły o wyraźnie zaznaczonych związkach przyczynowo-skutkowych. Powiązania pomiędzy poszczególnymi scenami miały zazwyczaj charakter symboliczny i alegoryczny, odsłaniając głębszy, duchowy sens zjawisk. Akcja rozgrywała się najczęściej symultanicznie.

Franciszkanie przenieśli te na poły teatralne, na poły religijne zwyczaje także do Polski i to już kilkanaście lat po śmierci Świętego z Asyżu. Szopki w kościołach oo. Franciszkanów do dziś zajmują centralne miejsce, czyli budowane są w głównym ołtarzu. Na ich tle odprawiana jest Eucharystia – w taki symboliczny sposób oo. franciszkanie nadal wskazują na połączenie Bożego Narodzenia z tajemnicą Eucharystii.

„Kolęda, kolęda"

Szopki zdobyły na terenach Polski zadziwiającą popularność. Tematykę przedstawień opartych na wydarzeniach religijnych wzbogacono z czasem o sceny o świeckim charakterze. Do widowisk wprowadzano wątki patriotyczne i scenki rodzajowe o charakterze satyrycznym, co przyciągało rzesze hałaśliwej publiki, na bieżąco komentującej oglądane wydarzenia. Już Jędrzej Kitowicz, XVIII-wieczny historyk i pamiętnikarz, utyskiwał na żywe reakcje publiczności na przedstawiane historie oraz zamieszki wywołane drażliwymi tematami poruszanymi w teatrzykach.

Z czasem szopki zamieniły się w całkiem świecką, ludową zabawę. Gapie komentowali, kłócili się, jedli, nierzadko śpiewali własne komponowane ad hoc piosenki, jak choćby tę, odnotowaną przez kronikarza:

„Zabił Maciuś wieprzka,
a my o tem wiemy;
Nie pójdziemy nigdzie,
aż kiełbaskę zjemy.
Kiełbaska na rożnie,
śpiewajmy pobożnie:
Hej kolęda, kolęda!".

Właśnie z powodu owej „zbyt żywiołowej publiczności" w 1738 r. Kościół zakazał urządzania szopek w kościołach. Biskupi zezwolili jedynie na montowanie szopek statycznych. Zakaz doprowadził do zaniku wcześniejszych misteriów kościelnych o Bożym Narodzeniu, a jednocześnie przyczynił się do powstania oryginalnych widowisk ludowych.

W pierwszej połowie XIX w. szopki kukiełkowe szczególnie zadomowiły się w Krakowie. Znano je również w Warszawie właśnie pod nazwą „szopki krakowskiej". Odgrywanie scen z użyciem kukiełek w przenośnych szopkach było powszechne na terenach Polski w zaborze rosyjskim i austriackim, w szopkach śląskich figury w szopce osadzane były na specjalnej tarczy, obracanej za pomocą korby.

Okiem widza

W pierwszym tomie „Tygodnika Ilustrowanego" z 1860 r. (str. 115) Wacław Szymanowski, pisarz, a ówcześnie właściciel i redaktor „Kurjera Warszawskiego", popełnił artykuł o szopce polskiej. Zacytujmy: „Była więc osóbka Pana Jezusa, a na boku Marja i Józef, stojący przy kolebce, w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej. W górze szopki, pod dachem i nad dachem, aniołowie unoszący się na skrzydłach, jakoby śpiewający »Gloria in excelsis Deo«. Toż dopiero w niejakiej odległości jednego od drugiego, pasterze padający na kolana przed narodzoną Dzieciną, ofiarujący mu dary swoje, ten baranka, ów kózkę; dalej za szopą po obu stronach pastuszkowie, wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy śpieszący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między którymi osóbki rozmaity stan ludzki i ich zabawy wyrażają: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan pieszo idących, chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, przedających chleby, niewiasty dojące krowy, Żydów różne towary do sprzedania na ręku trzymających, i tym podobne akcje ludzkie".

Szopki żywe i... dziwne

Historia szopek bożonarodzeniowych ewoluuje. W latach 80. w Polsce popularne były szopki polityczne. Czasem wiązało się to z represjami ze strony komunistycznych władz. Na przykład za projekt szopki wystawionej w kościele oo. Jezuitów w Kaliszu w Boże Narodzenie 1981 r. (i komentarz do niego, odczytywany publicznie) o. Stefan Dzierżek został skazany na rok więzienia w zawieszeniu na 3 lata. Według władz PRL jego dzieło mogło wywołać – jak głosił akt oskarżenia – „społecznie szkodliwe emocje i wrogie nastroje".

Obecnie coraz popularniejsze są tzw. żywe szopki, z udziałem zwierząt. Taką od lat można oglądać na terenie dawnego klasztoru oo. Kamedułów na warszawskich Bielanach. Szopka nawiązuje do tradycyjnej rzeźby podhalańskiej (drewnianą stajenkę i figurki ofiarował klasztorowi Józef Wilkoń), zaś dodatkową atrakcją są żywe osiołki.

Co ciekawe, do religijnej tradycji szopek nawiązują też inscenizacje artystyczne, które budzą pytanie o cele, które im przyświecają. W listopadzie tego roku na Grand Place w Brukseli ustawiono taką właśnie „szopkę". Postacie zostały „wymodelowane" z... tandetnych tkanin, pozszywanych metodą patchworkową, żadna nie ma twarzy. Według twórców szopki miała to być „inkluzywna instalacja przedstawiająca ludzi o wszystkich kolorach skóry, tak żeby każdy mógł się w szopce odnaleźć". „To już nie jest betlejemska stajenka, ale jakiś niejasny, niezrozumiały symbol, który nie przekazuje sobą Bożej tajemnicy" – skomentował to portal katolicki „Tribune Chrétienne".

eprasa.pl 176856116b

REKLAMA 0011451346

MOTO
BOHATEROWIE
OTOMOTO

CARSED

Samochody Dostawcze · SKODA · CUPRA · Audi Serwis

SAMOCHODY CARSED.PL UŻYWANE

UZYWANESIEDLCE.OTOMOTO.PL

JEDEN Z WIODĄCYCH DEALERÓW SAMOCHODOWYCH W POLSCE, DZIAŁAJĄCY OD 30 LAT. ZDOBYWCA PRESTIŻOWEJ NAGRODY DEALERA AUT UŻYWANYCH 2025.

Oprócz salonów i serwisów marek Volkswagen, ŠKODA, SEAT, CUPRA, Audi, OMODA JAECOO, Chery i BYD, oferuje wybór sprawdzonych samochodów używanych wszystkich marek, objętych gwarancją i pełną historią serwisową.

Zapewnia także finansowanie, ubezpieczenia oraz kompleksową obsługę posprzedażową. Uchodzi za synonim jakości, solidności i pełnego zaufania w motoryzacji.

DEALER AUT UŻYWANYCH 2025

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

– To jest piękne i ważne, najpierw zadbać o własny tlen, o to, co nam służy i jest dla nas ważne. Dopiero później możemy to dawać innym – mówi Agnieszka Bieńczak, certyfikowany coach, trener i właścicielka firmy „Na nowo zawodowo”

Marlena Bogdan-Marut

„WIDZĘ, CIOCIU, ŻE SIĘ MNĄ INTERESUJESZ”, CZYLI JAK PRZETRWAĆ ŚWIĘTA Z RODZINĄ

Chciałabym, Agnieszko, żebyś mnie dziś trochę „pocoachowała”, jak przetrwać święta z rodziną. Bo dla wielu osób to dość stresujący okres, mimo że kojarzy się z wigilijnymi spotkaniami, świątecznym stołem, rodzinną atmosferą, bliskimi.
Rzeczywiście coś w tym jest. Może właśnie dlatego to taki stresujący czas, bo widzimy się w tym „rodzinnym teamie” tylko raz na jakiś czas. Rzadko przebywamy jednocześnie w tak dużym gronie. I to faktycznie może być obciążające.

Czyli: za dużo osób w jednym miejscu i za intensywnie.
Może tak być.

No dobra, to co zrobić, żeby określić sobie to, co jest dla nas najważniejsze w tym czasie? Czy powinniśmy zrobić, nie wiem, listę tego, czego oczekujemy, czego chcemy, czego nie chcemy w czasie świąt – i trzymać się takiego planu? Jak przy planowaniu podróży albo urlopu?
Plan to świetne narzędzie. Bardzo często przygotowujemy się tak, jak mówisz, do różnych rzeczy: do podróży, wypraw, wystąpień.

Ale do świąt też się przygotowujemy, bo wiele z nas – nie wiem, jak z panami – robi listy zakupów. Ja tak mam: spisuję, co kupić, co zrobić po kolei. Tego dnia muszę posprzątać, umyć okna, wyprać zasłony i tak dalej. Czyli te listy jednak robimy, przygotowujemy się do świąt, tylko nie myślimy w tym wszystkim o sobie.
No właśnie. Mamy listy zakupów i zadań, podchodzimy do świąt bardzo zadaniowo. A nie zastanawiamy się nad własnymi potrzebami.

No to, jak to zrobić?
Przed chwilą sama to powiedziałaś: robisz listę zakupów. To może warto wziąć tę samą kartkę i zamiast listy zakupów zrobić… listę dla siebie. Usiąść na pięć minut – więcej nie trzeba, choć jeśli masz dziesięć, świetnie – i naprawdę się zastanowić: czego ja potrzebuję w te święta? Co jest dla mnie ważne? Co sprawia mi przyjemność? W ogóle myślałaś kiedyś o tym, co daje ci przyjemność podczas świąt?

Cisza i spokój.
Cisza i spokój, no właśnie.

I serniczek (śmiech).
I serniczek (śmiech). A kto piecze?

Nie ja. Zamawiam. Mam dwie lewe ręce do gotowania.
Super, i zobacz: poruszyłaś kolejny ważny temat – odpuszczasz pieczenie. Zaakceptowałaś, że masz dwie lewe ręce do wypieków.

Tak, pierogów też nie robię, bo nie potrafię. Ale chwila, bo zaraz wyjdzie, że ja nic nie robię na święta… I w sumie bardzo dobrze, bo nie ma co ściemniać, że robię (śmiech). Wracając do naszych planów – czyli co? Dzielimy kartkę na to, czego potrzebujemy, czego chcemy, co odpuszczamy?
Spisujemy to, co jest dla nas naprawdę ważne – i to, co odpuszczamy. Bo sztuka odpuszczania jest chyba najtrudniejszą sztuką.

Wiesz co, może to nie jest najtrudniejsza sztuka, ale czasem mam wrażenie, że najtrudniejsze w całych świętach jest ten moment, w którym musiałabym powiedzieć na głos, czego chcę. Czyli zakomunikować mojej rodzinie, że nie chcę w pierwszy ani w drugi dzień świąt nikogo odwiedzać. Że chcę odpocząć, bo tego potrzebuję.
I tu dochodzimy do sztuki skutecznej komunikacji. To jest chyba największy problem, że brakuje nam odwagi, by mówić o tym, czego chcemy. Odwaga w komunikowaniu jest bardzo ważna. Bo zobacz: mamy już pierwsze narzędzie. Robimy sobie listę tego, czego potrzebuję i czego naprawdę chcę. Nie tego, co podpowiadają media, Instagram, mama, babcia, wujek, ciocia czy mąż. Tylko: czego ja chcę. Do tego dodajemy to, co warto odpuścić – i to już jest jedno konkretne, proste narzędzie. Każdy ma kartkę czy notatnik. A potem czas przejść do kolejnego etapu: zakomunikowania tego innym. Jeśli już uświadomiłaś sobie, czego potrzebujesz, co jest dla ciebie ważne i co daje ci radość, to trzeba w sobie znaleźć odwagę, żeby o tym po prostu powiedzieć. Czyli ustalić granice delikatnie, ale jasno.

Okej, ale jak znaleźć tę odwagę?
No dobra, to o czym przed chwilą powiedziałaś? Chciałabyś powiedzieć…

…że chcę mieć spokój.
Że chcesz mieć spokój. Słuchaj, święta trwają teraz trzy dni, prawda?

Mhm, a potem jeszcze sobota i niedziela.
A, czyli pięć. Pięć dni – i ty chcesz mieć spokój przez wszystkie pięć?

No nie, no dwa… dobra, jeden dzień chcę.
Jeden dzień, okej. To jak możesz to zakomunikować? Mamy pięć dni, a ty potrzebujesz jednego dnia spokoju.

Nie wiem, czy przez ten gruby sweter, czy przez to, że muszę coś takiego powiedzieć, ale już jest mi gorąco (śmiech).
(śmiech) Twoje ciało już ci coś podpowiada.

Tak, podpowiada mi - nie, nie możesz tego zrobić, nie możesz tego powiedzieć, bo się obrażą! Bo inni oczekują ode mnie, że przyjadę na święta, będę się dobrze bawić i po prostu będę.
A gdybyś zadzwoniła wcześniej do rodziców, do cioci – tam, gdzie się wybierasz – i po prostu zapytała, kiedy planują większe rodzinne spotkanie? I od razu zakomunikowała: „W tym roku jestem naprawdę bardzo zmęczona i chciałabym przynajmniej dwa dni odpocząć”.

Myślisz, że ludzie mają odwagę mówić o takich rzeczach?
Nie mają.

A Wigilia to dobry moment, żeby zaczynać takie rozmowy?
Mówimy o tym, żeby zacząć komunikować swoje potrzeby kilka dni wcześniej. To jest właśnie komunikacja. Żeby się zrozumieć, ktoś musi nadać komunikat, a ktoś inny go odebrać, prawda? Na tym to polega – nadawanie i odbieranie. Inaczej się nie dogadamy.

Myślę sobie też, Agnieszka, że my w Wigilię i święta próbujemy zbawiać świat. Chcemy, żeby wszystkim było dobrze. I to trochę tak, jakby w soczewce odbijało się nasze życie: to, co robimy przez cały rok, robimy też w Wigilię. Staramy się spełniać oczekiwania innych, nie urazić nikogo swoim zachowaniem, bierzemy na siebie cały ciężar przygotowań, obowiązków, prezentów. A gdybyśmy tak po prostu powiedzieli – choć to chyba najtrudniejsze – czego chcemy i czego potrzebujemy?
Kiedy pracuję z klientami, często korzystam z metody 4X Z. Dużo mówimy o emocjach i komunikacji, a to właśnie emocje zwykle przeszkadzają nam komunikować się skutecznie – powodują jej zaburzenie. Dlatego stosujemy 4Z. Pierwsze Z: zatrzymaj się. Drugie Z : zauważ – zauważ, co czujesz i czego potrzebujesz, najlepiej to zapisz. Trzecie Z: zrozum – zrozum, co się w tobie dzieje. I czwarte Z: zadziałaj na nowo.

Dobra strategia, ale czy ona sprawdzi się też przy rozmowach przy wigilijnym stole? Bo tam się dzieje (śmiech). Nad białym barszczem zaczynają się pytania typu: „To kiedy kolejne dziecko?”, „Kiedy się ustatkujesz?”, „Kiedy znajdziesz porządną pracę?”, „Kiedy zaczniesz zarabiać?”, „A czemu wybrałeś taki głupi kierunek studiów? Przecież to ci pracy nie da”. I tu można przypisać różnych autorów – wachlarz jest szeroki: od teściowych, przez wujków, ciocie, po babcie.
Dzisiaj rano zostałam tak zatrzymana przez mojego syna. Wychodziliśmy razem, on do szkoły, ja do pracy. Oczywiście wstał dużo później niż ja, a był gotowy znacznie wcześniej. Chyba faceci tak mają. I ja mówię do niego: „Wy, faceci, to macie prosto”. A on na to: „Nie, mamo, to ty sobie komplikujesz”. I powiem szczerze, że to było dla mnie naprawdę mocno zatrzymujące. Pomyślałam: no właśnie – czy to ja sobie komplikuję? Czy to świat mi komplikuje? Spróbujmy sobie odpowiedzieć na to pytanie. Czy to ja

WIELE RZECZY DA SIĘ POWIEDZIEĆ NA RÓŻNE SPOSOBY. JEŚLI MAMY DYSTANS DO SWOICH UCZUĆ I EMOCJI, MOŻEMY SIĘ TYM TROCHĘ POBAWIĆ…

eprasa.pl 176856116b

FOT. BARBARA GALAS

Agnieszka Bieńczak: – To jest chyba największy problem, że brakuje nam odwagi, by mówić o tym, czego chcemy. Odwaga w komunikowaniu jest bardzo ważna

sobie komplikuję, czy ktoś mi to wszystko utrudnia? Może właśnie takie pytanie powinno być dla ciebie zatrzymaniem, wzięciem oddechu, zwłaszcza przy wszystkich tych „świątecznych" pytaniach, które słyszymy na rodzinnych spotkaniach.

Zatrzymać się, wziąć głębszy oddech, napić się wody albo wina – co kto woli.

Zauważyć, co chcemy odpowiedzieć. Zauważyć to, co do nas ktoś mówi. Zauważyć, co się w nas dzieje – i czy nasza reakcja jest adekwatna do pytania. Kiedy już zauważymy i zrozumiemy, możemy zadziałać na nowo, odpowiedzieć inaczej, nowym schematem. Bo skoro stary schemat nie działa, a powtarzamy go od lat, to warto się zastanowić: jak ja chcę odpowiedzieć? I tu mogą paść różne formuły, na przykład: „Widzę, ciociu, że się mną interesujesz. Dziękuję za troskę, ale dziś nie chcę odpowiadać na to pytanie". Albo: „Zostawmy ten temat na inną okazję".

Albo po prostu zmienić temat i zapytać: „ciociu, a jak u ciebie? Kiedy ty znowu wychodzisz za mąż?"

Dokładnie. Możemy to powiedzieć z uśmiechem, bo właśnie o to chodzi. Wiele rzeczy da się powiedzieć na różne sposoby. Jeśli mamy dystans do swoich uczuć i emocji, możemy się tym trochę pobawić, pod warunkiem że potrafimy nimi zarządzać. To jest bardzo ważne: żeby wyjść z tego naszego gadziego mózgu, z automatycznej reakcji akcja - reakcja. Żeby sięgać raczej po korę przedczołową – tę najmłodszą część mózgu, w której mieści się myślenie logiczne i analityczne. To tam mamy przestrzeń, by zatrzymać się na chwilę i przeanalizować swoje zachowanie. I dopiero wtedy zadać sobie pytanie: jak ja właściwie chcę się zachować?

Fajnie byłoby, gdybyśmy wszyscy nabrali odrobinę dystansu i podarowali sobie spokój przy wigilijnym stole i podczas całych świąt. Żebyśmy na moment się zatrzymali, pomyśleli o tym, czego sami potrzebujemy i czym chcemy obdarować innych, w sensie uwagi, czasu i słów, które kierujemy do bliskich. Myślę, że to są właśnie najcenniejsze prezenty. A kiedy już przetrwamy Wigilię, pierwszy i drugi dzień świąt, kiedy jakoś sobie z tym wszystkim poradzimy, to może warto wrócić do tej naszej „must have" listy, o której wcześniej wspominałyśmy. Święta są dobrym momentem, żeby zastanowić się, czego tak naprawdę chcemy, także w kontekście nadchodzącego roku. I nie mówię o celach typu zdobycie Mount Everestu czy przebiegnięcie czterech maratonów po 10 tysięcy kilometrów. Bardziej o tym, co jest ważne dla naszego osobistego rozwoju. Ja na przykład wybieram sobie słowa na nowy rok – takie, które chciałabym, żeby mi towarzyszyły. W tym roku były to: odwaga, wiara i nadzieja. W przyszłym na pewno będzie to otwartość – na to, co mnie spotka, na każdą zmianę. Do tego znowu odwaga i, myślę, radość. To są trzy kluczowe słowa, które chciałabym wziąć ze sobą na nadchodzący rok. I myślę, że święta to świetny czas, aby zastanowić się właśnie w taki sposób: czego ja chcę od tego roku? Albo… czego chcę od tego rodzinnego spotkania?

To jest super, co mówisz, że wybierasz słowa na rok, zamiast tworzyć bardzo górnolotne postanowienia. Bo nie oszukujmy się: jeśli nie zaczniemy od małych kroków, od drobnego codziennego treningu, to plan „od 1 stycznia codziennie chodzę na siłownię" może wytrwać tydzień. A potem łatwo zacząć to przesuwać, znajdować wymówki. Dlatego warto myśleć o realnych celach i planach.

I wracając do świątecznych spotkań – przecież my możemy to wszystko przetrenować. Jeśli wiemy, że jakaś ciocia, wujek, teściowa, teść, brat czy siostra uwielbiają wbijać nam małe szpileczki dziwnymi pytaniami, to przygotujmy się na to. Na przykład: „Dzięki za troskę, ale to nie temat na dziś". To naprawdę działa.

Nie da się przy wigilijnym stole naprawić wszystkich relacji, które nie układały się przez cały rok. Nie oszukujmy się – to ani czas, ani miejsce na takie rozmowy. Poza tym wcale nie musimy tego robić. Jeśli w jakiejś relacji czujemy się źle, mamy pełne prawo powiedzieć „nie", postawić granicę, powiedzieć „stop".

Dokładnie. I to wcale nie musi brzmieć jak: „Nie rozmawiam, proszę odejdź". Można to powiedzieć łagodnie: „Widzę, że się o mnie troszczysz, ale nie chcę teraz o tym rozmawiać. Ten temat jest dla mnie trudny i nie chcę dziś go poruszać". Chodzi o to, żeby mieć odwagę mówić wprost. Odwagę w komunikowaniu swoich potrzeb i granic.

Mówimy o trosce o innych, ale jak w takim razie zatroszczyć się o siebie w te święta?

No właśnie. I tu znowu wracamy do odpuszczania. Wiesz co, ja przez wiele lat miałam z tym ogromny problem – z tym pytaniem, czy w ogóle „zasługuję" na odpoczynek. Czy mogę się położyć, pójść na spacer, pójść na siłownię. I w pewnym momencie, podczas jednego z kolejnych lotów, bardzo mocno uderzyła mnie ta początkowa instrukcja stewardess. Ten fragment, kiedy pokazują, że w sytuacji awaryjnej najpierw zakładasz maskę sobie, a dopiero potem dziecku. To było dla mnie niezwykle wymowne.

Bo my przecież bardzo często próbujemy „dotleniać" najpierw innych, zapominając o sobie. A jeśli zabraknie nam tlenu, jeśli nie zadbamy o siebie, nie będziemy w stanie pomóc nikomu. Więc to jest piękne i ważne, najpierw zadbać o własny tlen, o to, co nam służy i jest dla nas ważne. Dopiero później możemy to dawać innym. Daj sobie prawo do odpoczynku – bez tłumaczeń, bez poczucia winy.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

AGNIESZKA GROCHOWSKA: KTOŚ, KTO BIJE DZIECKO, JEST POZA MOJĄ SKALĄ ROZUMIENIA

W filmie „Brat" wchodzi w skórę kobiety, która z bezradności sięga po przemoc. – Ten film jest o wielu rodzinach. Wielu matkach i wielu ojcach. Myślę, że przejrzy się w nim bardzo dużo osób – mówi aktorka Agnieszka Grochowska

Anita Czupryn

Filmowi krytycy piszą, że postać Agnieszki, matki dwóch synów w filmie „Brat", jest jedną z najbardziej poruszających ról w Pani karierze, a sam film uderza prosto w serce. Gdy po raz pierwszy czytała Pani scenariusz, też pomyślała Pani: „To będzie dla mnie ważna rola"? I jak Pani wewnętrznie mierzy wagę tej roli? Po czym się poznaje, że rola może zostać z aktorką na długo?

Trudno jest mi to oceniać w taki sposób. Pewnie mogę patrzeć na tę rolę przez pryzmat tego, jak ona się różni od tego, co w moim aktorskim życiu zrobiłam wcześniej, i czy ja sama nie jestem czasem zaskoczona takim obszarem emocjonalnym, w który miałam wejść. Na pewno od początku wiedziałam, że chcę w tym filmie zagrać i że on ma szansę być dobry. Niezmiernie cenię Maćka Sobieszczańskiego. Uważam, że jest wybitnym scenarzystą, wybitnym reżyserem; wszystko właściwie, co Maciek zrobił, było dla mnie interesujące. Zaczęliśmy się spotykać w sprawie innego projektu, a potem on nagle przyszedł z tym filmem i pomyślałam: „Ojej, jaka ciekawa propozycja". Zwłaszcza że wtedy, kiedy pierwszy raz czytałam scenariusz, moje dzieci były dużo młodsze; można powiedzieć, że byłam świeżo upieczoną mamą.

I nie miała Pani takich problemów jak filmowa Agnieszka.

Tak, to po pierwsze. A po drugie, ktoś, kto bije dziecko, kto w ogóle potrafi podnieść na nie rękę, jest kompletnie poza moją skalą rozumienia. Obawiałam się, że będę potrafiła wejść w skórę osoby, która tak bardzo sobie nie radzi, że sięga po przemoc. Ale to był wyraz bezradności, nie sadyzmu. To były myśli, które wtedy mi towarzyszyły. Kiedy zaczęły się zdjęcia, wydawało mi się, że filmowa Agnieszka jest zupełnie inną matką niż ja. Myślę, że skrajnie inną. Paradoks polega na tym, że dziś - kiedy oglądam film ponownie - moje własne dzieci są już w wieku bohaterów. Mają 13 i 9 lat, czyli mniej więcej tyle, co moi filmowi synowie. Zbiegło się to w czasie z premierą „Brata" i nagle sama zaczynam rozumieć, że czasem trzeba dzieciom stawiać większe granice. I wyciągam z tego różne ciekawe wnioski.

Czy teraz też dostrzega Pani u siebie podobieństwa? W czym jest Pani podobna do Agnieszki z filmu, do matki, która za wszelką cenę próbuje chronić swoich synów?

Myślę, że to dotyczy większości matek, które starają się chronić własne dzieci. Pewnie też taka jestem. Jest w tym filmie parę takich scen, w których sama byłam sobą zaskoczona i wydaje mi się, że udało się reżyserowi znaleźć moją zupełnie inną twarz. Naprawdę weszłam w tę historię, uwierzyłam w ten scenariusz, bardzo zaufałam Maćkowi. Mało się wtedy posiłkowałam własnym, stricte macierzyńskim doświadczeniem w stylu, że ja jako mama robię to tak i tak, tylko rzeczywiście byłam wariantem matki: matką ze scenariusza, z filmu. Dlatego może to tak działa. Jestem w zawodzie ponad dwadzieścia lat. Wiele ról już zagrałam. Wiele z nich było rolami matek - naturalne jest, że w pewnym wieku gra się postacie mające dzieci. Tu, w filmowej Agnieszce, wydaje mi się, że jest bardzo dużo tonów, których wcześniej po prostu nie używałam. To mądrość reżysera, świeżość tego scenariusza i to, jak dobry to tekst, sprawiają, że ten ton momentami jest bardzo oszczędny.

FOT. MAT.PRAS. MPNOLITH

Agnieszka Grochowska: Wiele ról już zagrałam. Wiele z nich było rolami matek. Tu, w filmowej Agnieszce, jest bardzo dużo tonów, których wcześniej nie używałam.

W filmie dużo się dzieje w samym spojrzeniu, dużo się dzieje w atmosferze samochodu, którym rano zawożę moich filmowych synów do szkoły, tej ciszy pomiędzy słowami. To są też kompletnie inne środki wyrazu. Ale, jak mówię, są one podyktowane i samym scenariuszem, i genialną reżyserią Maćka, i tym, w jaki sposób prowadzeni są chłopcy w tym filmie, a oni są po prostu wspaniali.

Kiedy rozmawiałyśmy rok temu, przy okazji zdjęć do tego filmu, mówiła Pani, że ta kobieta, ta postać, którą Pani gra, stoi na rozdrożu. I że nigdy nie jest za późno na dobro, na zmianę, na spotkanie z samą sobą. Gdyby miała Pani teraz, już po skończonej pracy i po premierze, opisać tę kobietę jednym zdaniem, co by Pani powiedziała?

Wydaje mi się, że powiedziałabym to samo. Znów bym się pod tym podpisała. Jeżeli, popełniając błąd, jesteśmy w stanie sami sobie wybaczyć i powiedzieć sobie: „OK, jutro jest nowy dzień, jutro mogę zrobić coś inaczej, mogę zawalczyć o siebie, o jakąś relację", to myślę, że to jest akt dużej świadomości i dużej odwagi.

Pani bohaterka popełnia błędy, sięga po przemoc, ale potem się z tych błędów nie wycofuje, nie pudruje ich. Jak gra się kogoś, kogo widz raz rozumie, a innym razem chciałby surowo osądzić?

To się chyba po prostu nazywa skomplikowana, ciekawa postać. A to przecież całkiem dobrze (śmiech), bo przecież jako widzowie i twórcy nie lubimy postaci, które są po pierwsze, jednoznaczne, a po drugie, które bardzo szybko można zaklasyfikować, zaszufladkować. Zagranie w tym filmie było dla mnie ciekawe także dlatego, że Maciek znalazł mi tak wspaniałych filmowych synów. To była niesamowita przygoda.

Jak Pani myśli, co o tym zdecydowało? To była ta przestrzeń, klimat Żyrardowa, przychylność miasta, w którym kręciliście zdjęcia?

Pewnie warunki produkcyjne miały znaczenie, ale myślę, że gdyby nie poszukiwania Maćka, gdyby nie jego determinacja w znalezieniu odpowiednich chłopców, gdyby nie przygotowywanie ich potem przez wiele miesięcy do roli, gdyby nie to, jacy ci chłopcy są, jak bardzo są wrażliwi, jaką mają wyobraźnię, a jednocześnie jaki mają hart ducha, to nie byłoby tego efektu. Oni są ze świata sportu, więc dla nich nie było: „Ojej, jeszcze jeden dubel, to strasznie męczące". Kolejny dubel był po prostu kolejnym zadaniem do wykonania. Oni są przyzwyczajeni do rygoru, do treningów, do dyscypliny, do tego, że przekracza się własne granice i psychiczne, i fizyczne. To naprawdę wyjątkowi młodzi ludzie.

W filmie jest też scena, która dla mnie jest wyjątkowa. Chodzi o moment, kiedy grana przez Panią bohaterka czyta list, bo nie jest w stanie wypowiedzieć na głos tego, co naprawdę czuje. Zna Pani takie momenty z życia? Takie listy, których nie umiemy powiedzieć na głos? I jak przenosi się prywatną wiedzę o bezradności na filmową scenę?

Nie mam konkretnego przełożenia na życie akurat w przypadku tej sceny, ale mogę sobie wyobrazić taki rodzaj bezradności, wstydu. Myślę, że im dłużej człowiek nie mówi prawdy, tym trudniej jest mu ją potem wypowiedzieć. Bo ona zaczyna bardzo ciążyć. Ten list jest dla mojej bohaterki jedynym sposobem, by

eprasa.pl 176856116b

FOT. MAT. PRAS. MONOLITH

„Brat" to historia ciężko pracującej samotnej matki. Jej mąż trafił do więzienia, a ona sama została z dorastającymi synami

w ogóle była w stanie to powiedzieć. Prawdopodobnie gdyby go nie napisała, to słowa by jej uwięzły w gardle, nigdy by nie padły. Pamiętam też bardzo dobrze pierwszy dubel tej sceny. Czytam list i praktycznie nie patrzę na chłopców – tylko szybkie zerknięcia, bo nie jestem w stanie dłużej utrzymać wzroku. Pamiętam, że Maciek powiedział: „Agnieszka, może patrz na nich, mów do nich?". I ten dubel, kiedy na nich patrzę, nie wszedł. Kiedy próbowałam mówić, patrząc im w oczy, natychmiast zaczynałam płakać tak mocno, że nie byłam już w stanie wypowiadać słów. I właśnie o to chodzi: ta kartka, to patrzenie na napisane słowa, podążanie od słowa do słowa za tym, co ona napisała, co chce im wyjawić, jest jedyną metodą, żeby ona mogła to z siebie wydobyć. Bo ilekroć podnosiłam wzrok i próbowałam mówić bezpośrednio to do nich, był tylko płacz, ogromny ciężar, coś bardzo rozdzierającego, co dławi i nie pozwala tych słów wypowiedzieć.

Kiedy Pani poczuła, że między Panią a tą dwójką, filmowymi synami, naprawdę zaiskrzyło? Że nie jesteście już tylko aktorami na planie, ale tworzycie prawdziwą filmową rodzinę?
Nie chciałabym robić takich rozgraniczeń, że próbujemy coś na siłę wyprowadzać poza film, bo jednak wszyscy rozumiemy, że robimy film. Ale jeśli chodzi o chemię, to ona była od początku. Maciek tak wspaniale nam to wszystko poukładał, dał nam tyle miejsca… Razem oglądaliśmy fragmenty „Buntownika z wyboru", tę słynną scenę, w której Robin Williams mówi do Matta Damona: „To nie jest twoja wina" i powtarza to tyle razy, aż ten chłopak w końcu pęka. Chłopcy oglądali to razem z nami, choć może nie do końca rozumieli, o co reżyserowi chodzi. Ale on ich naprawdę traktował poważnie. Robił z nimi czytania, mogli się wypowiadać także o innych scenach, które są w scenariuszu, nie tylko o tych, w których grają. Wydaje mi się, że ta więź zrodziła się dosyć szybko i naturalnie. Z nimi po prostu trzeba było być. Partytura była napisana. Dla mnie bardzo ciekawe było też znalezienie się w skórze innej matki. To było naprawdę interesujące doświadczenie.

Podczas naszej rozmowy sprzed roku powiedziała Pani, że w pracy aktora nie chodzi o zakładanie masek, tylko o ich zdejmowanie. Jak było tym razem? Co Pani zdjęła z siebie w tej roli?
No właśnie, to ciekawe. Bo nagle próbujesz się dokopać do jakiejś bezradności. Do tego momentu, kiedy człowiek bardzo stara się być dzielny, sprawczy, a czasem po prostu ma dosyć. Myślę, że jest to gdzieś, pod którąś z tych masek. Wiadomo, że ja mam trochę lepsze życie niż filmowa bohaterka, jestem kimś innym, ale kiedy zaczyna się z siebie zdejmować te maski, to okazuje się, że nam wszystkim zdarzają się sytuacje, w których po prostu mamy dosyć. I naprawdę nie widzimy wyjścia. I to wcale nie muszą być skrajne sytuacje. Często trudno nam się skonfrontować z rzeczami, które są niby małe: czujemy tylko, że coś nie gra, że coś już nie pasuje, że coś jest dla nas niedobre. A wtedy bardzo trudno jest stanąć i powiedzieć: „To ja dziękuję. Ja zmieniam miejsce". Wiem, że to są bardzo trudne sytuacje. Nie potrzeba do tego jakichś wielkich tragedii, wielkich spraw. Mogą być małe, codzienne, a i tak bardzo trudno jest po prostu stanąć za sobą.

Od lat mówi Pani, że w pracy aktorskiej opiera się na intuicji i że na planie filmowym próbuje Pani porzucić wszystko, co wcześniej sobie zaplanowała. Nigdy nie zdarzyło się Pani wejść w jakąś artystyczną ślepą uliczkę?
W sensie zawodowym? Nie wiem, trudno powiedzieć. Pewnie jedne role są gorsze, jedne filmy są gorsze, a inne lepsze. Ale za taką kompletną ślepą uliczkę uważałabym sytuację, w której spotkałabym się z kimś, kto dopuszcza się jakiegoś nadużycia, albo okazałby się bardzo niefajnym, złym człowiekiem. A tak nie było. To były po prostu przygody, a my wszyscy walczyliśmy, żeby praca była zrobiona jak najlepiej. Jeśli ostateczny efekt nie okazał się „jakiś tam", to też nie jest koniec świata. To nie jest kwestia życia i śmierci. Lubię być lojalna wobec ludzi, z którymi pracowałam i pracuję. Myślę, że byłoby mi bardzo głupio usiąść i powiedzieć: „Nie, praca przy tym filmie była bez sensu, nie warto było tego robić", bo jednak, kurczę, coś razem przeszliśmy, coś razem przeżyliśmy. Więc to trudno powiedzieć. Czasem jest też tak, że doświadczenie z filmu, który nie był aż tak udany, powoduje, że potem jestem w stanie zagrać w filmie, który wyszedł świetnie. Nie jestem w stanie tego policzyć ani zmierzyć.

To co dla Pani znaczy prawdziwość w graniu? Dziś widzowie oglądają setki filmów rocznie i są bardzo wyczuleni na fałsz.
Jezu, nie wiem. Nie mnie to oceniać. Wydaje mi się, że są aktorzy, którzy sięgają po coś w rodzaju czucia. Może to jest kwestia tego, że czasami jesteśmy po prostu jakimś medium. Że trzeba zawierzyć historii, scenariuszowi, zaufać i uwierzyć reżyserowi. Dać się temu ponieść. Wydaje mi się, że w moim konkretnym przypadku ja bardzo rzadko „realizuję scenę" czy z kimś ją „odgrywam". Wiadomo, że się przygotowuję, że wiem, jakie są założenia i co bym chciała osiągnąć. Ale ja nie projektuję, grając. Ja chcę się spotkać z drugim człowiekiem. Kiedy stoję naprzeciw partnera – czy to z chłopcami, jak w tym filmie, czy z kolegą czy koleżanką - jestem ciekawa tego, co oni przynoszą. Co mają w oczach. Bardzo mi zależy na tym, żebyśmy w trakcie sceny się naprawdę spotkali. Żeby coś się między nami wydarzyło. I mam wrażenie, że jak coś naprawdę się wtedy wydarza, to jest dużo większa szansa, że widz w to po prostu uwierzy.

Jeden z krytyków filmowych napisał, że jest Pani aktorką, która rozmawia rolami, a nie glamourem. Był kiedyś w Pani życiu moment, impuls, żeby pójść w stronę większej medialności, rozpoznawalności, kosztem spokojniejszego, własnego wyboru?
Nie, bo nie widzę powodu. Dziś wiadomo: jesteśmy na premierze, trzeba było się jakoś ubrać i to, jak na mnie, już jest wystarczające „wyeksponowanie się". Nie potrzebuję robić tego bardziej. I tak przydarzyło mi się w życiu coś niesamowitego: mogę coś powiedzieć przez role, jakie gram. Z może nieśmiałego dziecka, kogoś, kto miał poczucie, że niesie w sobie coś niesłyszalnego, stałam się osobą, która może mówić do ludzi. Do wielu ludzi. Mogę mówić na głos różne zdania. Wiadomo, mówię to przez role, przez postaci, które gram, ale przecież w tym odbijam się też ja. Dla mnie to już znaczy dużo. Naprawdę dużo. Nie wiem, co jeszcze miałabym pokazywać i dlaczego. Nawet nie mam na to pomysłu.

Przywołam jeszcze raz tę naszą rozmowę sprzed roku, bo bardzo zapadło mi w pamięć, jak mówiła Pani, że nigdy nie jest za późno na dobrą, nawet radykalną życiową zmianę, także w późniejszym wieku, także, dajmy na to, po sześćdziesiątce. Czy w Pani życiu też był taki moment pod tytułem: „nie jest za późno", który coś ustawił zupełnie inaczej?
To są bardzo prywatne sprawy, o których nie chciałabym szerzej opowiadać. Natomiast na pewno uważam, że zwyciężają ludzie odważni i to w małych sprawach również. Ale jednocześnie bardzo dobrze rozumiem, jak niesłychanie trudne to bywa.

No to skąd tę odwagę brać?
Nic złego tak naprawdę nie może się wydarzyć. Nic złego nie może się stać. Jeżeli jesteśmy w sytuacji, która nam teraz nie odpowiada, to nie ma opcji, żeby było gorzej. Każda zmiana jest zmianą na lepsze. Taka jest prawda. Tylko że bardzo trudno w to uwierzyć.

Często te zmiany na lepsze widać dopiero z perspektywy czasu.
No tak, właśnie. Warto uwierzyć, że tak jest.

„Brat" jest filmem o dzieciństwie w cieniu dorosłych problemów. Kiedy Pani myśli: „Moje dzieciństwo", to jaki obraz pojawia się w Pani głowie jako pierwszy?
Wychowywałam się w klimacie, w którym dzieci głosu nie miały. A z drugiej strony wszystko, i też to, kim jestem, prawdopodobnie jednak zawdzięczam moim rodzicom. Temu, że zabierali mnie do teatru, że w domu były książki, że były wyjazdy, że podróżowaliśmy. Temu, że interesowali się, czy zrobiłam lekcje, czy nie. Mama uczyła mnie chodzić po drzewach. W młodości trenowała akrobatykę, balet, pływanie artystyczne. Do dziś pływa dużo lepiej ode mnie, w ogóle najlepiej ze wszystkich w rodzinie (śmiech). Więc dużo tego rodzaju umiejętności, również takiego bycia w ciele, zawdzięczam im, rodzicom. Pamiętam też z dzieciństwa proste obrazy: że jeszcze padał śnieg, że wychodziło się na sanki. Nie było wtedy tak dużo niesamowitych słodyczy. I pamiętam to uczucie: spada pierwszy śnieg, idziemy na sanki, dostaję mambę, i to nie całą paczkę, tylko jedną kosteczkę. I to jest coś, co bardzo lubię pamiętać. Robi mi się dobrze, jak to wspominam. To, że się jest razem. Że nie ma zbyt wiele materialnych rzeczy, ale to, co ma być, jest.

Kiedy patrzy Pani dzisiaj na swoje dzieci, zdarzyło się Pani pomyśleć: „Ta filmowa historia jest też o nas, tylko mamy inne kostiumy"?
Zawsze czegoś dzieciom nie mówimy. Zawsze musimy dokonywać jakiegoś wyboru: do jakiego stopnia je chronimy, a do jakiego pozwalamy im mieć własne przygody. Więc na pewno tak; myślę, że ten film jest o wielu rodzinach, wielu matkach, wielu ojcach. Dlatego jest taki dobry. Bo wydaje mi się, że naprawdę wielu ludzi może się w nim przejrzeć. I to w taki fajny sposób: że nie oceniamy nikogo, tylko widzimy, że jesteśmy ludźmi. Że popełniamy błędy. I że dla każdego z nas ten film będzie trochę innym obrazem.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

MOJE NOŻE SĄ PRAKTYCZNIE NIEZNISZCZALNE

– Najbardziej nietypowym zleceniem było wykucie maczety – mówi Piotr Kuborek z Rzeszowa, architekt z zawodu, kowal z wyboru. Od lat tworzy noże, które trudno nazwać jedynie narzędziami

Marcin Żminkowski

Kiedy zaczęła się twoja pasja do wykuwania form z metalu?
Zainteresowanie kowalstwem, a w szczególności wykuwaniem noży, towarzyszyło mi od samego dzieciństwa. I to już było takie ukierunkowanie ścisłe, nożyki, miecze strugane z drewna. Potem, w dorosłym życiu, gdy miałem już swój warsztat i możliwość zorganizowania jakiejś przestrzeni na tego typu działalność, zacząłem myśleć o kowalstwie. Pierwsze próby - z nagrzewaniem palnikiem, piecyk elektryczny niewielki, bez kowadła, bez młota, bez prasy - miały pokazać, czy ten temat mi się spodoba, czy faktycznie ta tęsknota gdzieś za tym jest autentyczna. Okazało się, że tak i zaczęło się kompletowanie całego sprzętu i wchodzenie coraz głębiej w wykuwanie noży.

A pamiętasz swój pierwszy nóż?
To nie był nóż wykuwany jeszcze, to był nóż, który był wycinany z kawałka blachy, szlifowany, doklejana była do niego rękojeść, oczywiście wcześniej był hartowany jeszcze na tyle, na ile miałem pojęcie o hartowaniu i on gdzieś tam jeszcze jest. Nie jest to nóż, którym się można pochwalić, tak jak teraz obserwujemy czasami w mediach społecznościowych. Jeśli ktoś wykonuje pierwszy nóż, to naprawdę jest na bardzo wysokim poziomie. To były pierwsze nieudolne próby, ale nauczyły mnie naprawdę bardzo dużo.

Jesteś architektem, czy to pomaga ci w jakiś sposób przy tworzeniu noży?
Studia, które kiedyś rozpocząłem, architektura, dały bardzo mocne podstawy projektowania i kompozycji. I to jest - myślę - taka bardzo uniwersalna dziedzina. Możemy ją wykorzystać w bardzo różnorodny sposób, poprzez sztukę użytkową, wzornictwo użytkowe, projektowanie sztućców, noży, ale też i samochodów, kończąc na budynkach oczywiście. To wszystko ma bardzo duże znaczenie, dobór materiałów, kompozycja kolorystyczna, wrażenia estetyczne, które ten nóż ma też pełnić, oprócz tego, że ma być w pełni użytkowy, myślę, że to jest bardzo ważne.
W miarę rozwoju pasji kowalskiej i robienia kolejnych noży, które były coraz lepsze, pojawiły się pierwsze zamówienia. Miałem satysfakcję, że to, co wytwarzam moimi rękami, znajduje swoich odbiorców i przede wszystkim spełnia ich oczekiwania. Tych zamówień zaczęło się pojawiać coraz więcej. W zasadzie kowalstwo stało się moim drugim zawodem.

Jakie są etapy tworzenia noża, od czego zaczynasz?
Mając pomysł na nowy nóż, zaczynam od samego początku, czyli pierwszych kresek stawianych na papierze. Oczywiście jest to poparte oczekiwaniami klienta, dyspozycją, czy to jest nóż, który ma być nożem myśliwskim czy nożem kuchennym. Potem następuje etap projektowania noża, określania jego proporcji, wymiarów. Wagi na razie nie zakładamy, bo to wszystko będzie później związane na końcu z wykorzystaniem materiałów. Natomiast projekt noża, który powstaje przedstawiam klientowi. To on decyduje, że taka forma, taki kształt, takie przeznaczenie jest dla niego odpowiednie i zleca budowę takiego noża. Następnie trzeba zgromadzić materiały, dobrać poszczególne gatunki stali, materiał na rękojeść, pochewkę do tego noża. Oczywiście zmiany „w trakcie" są możliwe, natomiast jak już odpalę piec kowalski, zacznę skuwać dwa kawałki metalu, to już mamy otwartą drogę do konkretnego modelu noża, do konkretnej formy.

Jaki wpływ na cenę noża ma dobór materiałów?
Materiał jest istotnym elementem w konstrukcji całego noża, ale myślę, że znacznie bardziej takim czynnikiem cenotwórczym jest nakład pracy, jaki wiąże się z wykonaniem noża. Inaczej wykonuje się nóż, który jest z jednorodnego materiału, wycięty z kawałka płaskownika, zahartowany, wyszlifowany. Inaczej wykonuje się nóż, który ma 60-80 warstw stali, jest skuwany, a jego proces tworzenia jest znacznie dłuższy.

Pracujesz nie tylko z metalem, ale także obrabiasz drewno, żeby wykonać rękojeść noża?
Nóż i projekt noża to jest połączenie stali i najczęściej drewna. Stal, klinga to elementy, które mają być twarde, ostre. Rękojeść ma być wytrzymała, wygodna. Ja w swojej pracy wykorzystuję różne gatunki drewna. Może to być orzech turecki, mogą to być drewna sprowadzane z Indonezji, quava czy tamarynd, ale mogą to być też nasze rodzime gatunki, czeczot klonu, brzoza karelska, która jest stabilizowana i barwiona. Z takich materiałów wykorzystuję to, co jest dostępne na rękojeści, odpowiednio oczywiście przygotowując i komponując całość mojej pracy.

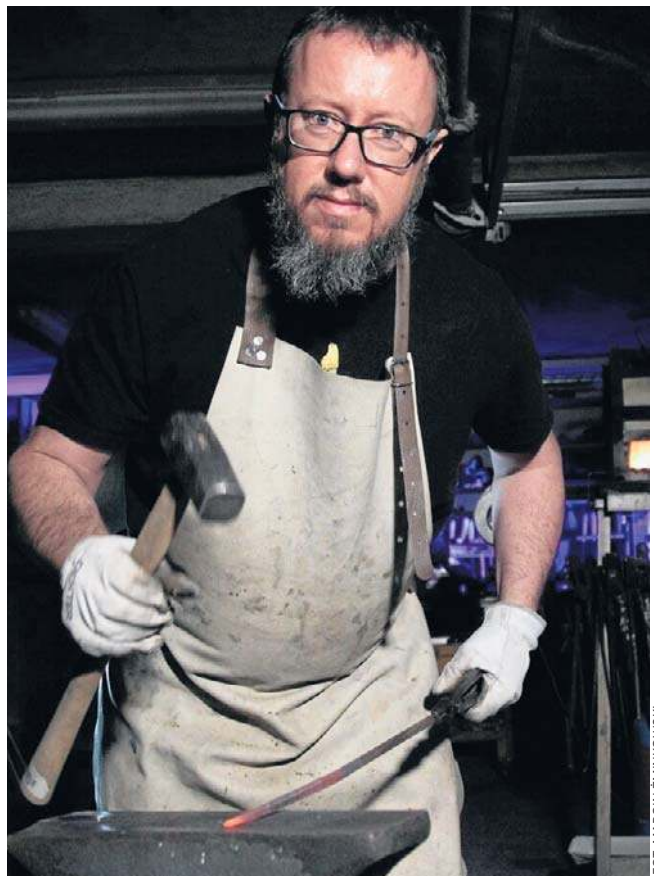

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Piotr Kuborek w swojej pracowni – miejsce, w którym architektura spotyka się z ogniem i stalą

FOT. MARCIN ŻMINKOWSKI

Ręcznie wykończone detale – każdy nóż powstaje jako unikat, dopracowany od klingi po rękojeść

Czym jest mozaika damasceńska. Jak dotarłeś do tej techniki?
Idąc po kolei przez takie najprostsze techniki kowalskie, dobrnąłem do etapu mozaik damasceńskich, dzięki mojemu przyjacielowi Bernardowi Górnemu, który jest moim mentorem i nauczycielem. On zapalił mnie tym pomysłem przejścia już na mozaiki, stworzenia mozaik damasceńskich. To jest taka technika, która jest cały czas jeszcze nieodkryta przeze mnie, szalenie trudna i pracochłonna. Wykonanie takiego materiału wyjściowego w postaci płaskownika na nóż zajmuje bardzo dużo czasu. Myślę, że to jest technika, w stronę której będę chciał zdecydowanie się teraz przemieszczać. Polega na wykorzystywaniu tylko dwóch w zasadzie materiałów, dwóch rodzajów stali, ale łączonych w taki sposób, że daje to niesamowite efekty. Wykorzystując materiał, który mamy wcześniej wykuty, możemy stwierdzić, czy jesteśmy w stanie wykorzystać ten bieżący projekt, czy powinniśmy skupić się na wykuciu.

Pamiętasz jakieś niecodzienne zamówienie, które przyszło ci realizować?
Takim chyba najbardziej nietypowym zleceniem dla mnie było wykucie maczety, ale też noża myśliwskiego, tak zwanego ulu, który stanowi bardzo specyficzny typ noża. Kształt literki „u" połączonej rękojeścią, więc kształt bardzo trudny do wykucia, ale udało się. Pod kątem formy, to były najtrudniejsze noże, które wykonywałem, natomiast pod kątem nakładu włożonej pracy, to były jednak ostatnie mozaiki damasceńskie, gdzie naprawdę przy kowadle spędziłem wiele czasu i nie jest to etap, który można rozpocząć i skończyć w tym samym dniu. Jest to wiele etapów kucia, które są porozdzielane czasem na stygnięcie stali, „odpuszczanie" tej stali i dopiero później następuje proces kucia. Był to nóż, który chyba najbardziej mi się podobał spośród noży, które zrobiłem. Wykonany z mozaiki damasceńskiej. Rękojeść stanowił stabilizowany cios mamuta z elementami drewna żelaznego.

Co cię najbardziej satysfakcjonuje w tej pracy?
Myślę, że takim czynnikiem najbardziej satysfakcjonującym jest zadowolenie klienta i to, że docenia nakład pracy włożony w wykonanie noża, że docenia też w pełni jego funkcjonalność i w zasadzie niezniszczalność. Wszystkie klingi, które wykuwam, są praktycznie niezniszczalne. Wiadomo, że przy normalnym użytkowaniu, jeżeli ktoś się uprze, że będzie chciał złamać taki nóż, da sobie radę, ale jeżeli ktoś będzie podchodził w sposób normalny do posługiwania się nożem, ten nóż będzie długowieczny.

Masz plany na rozwinięcie swojej działalności kowalskiej?
Wciąż zdobywam nowe umiejętności. Przechodzę na wyższy poziom wykuwania tych noży poprzez właśnie mozaiki damasceńskie, ale też biorę udział w wielu wystawach. Ostatnio braliśmy udział w wystawie pod Rzymem we Fraskat. To było bardzo bogate doświadczenie w naszym tworzeniu noży i biżuterii, bo w zasadzie tutaj też pod kątem biżuterii z żoną działamy. Myślę, że to jest kierunek, który chcielibyśmy kontynuować, żeby wyjść troszeczkę dalej poza Polskę.

eprasa.pl 176856116b

SIUŚPAJ NA WIGILIĘ? ZAPOMNIANA POTRAWA IDEALNA NA ZWIEŃCZENIE KOLACJI

Większość Polaków nie wyobraża sobie wigilii bez barszczu z uszkami, zupy grzybowej, karpia, pierogów z kapustą czy kompotu z suszu. Tymczasem w wielu domach pod Tarnowem potrawą, która obowiązkowo musi pojawić się na stole w tym dniu jest... siuśpaj. Pod tą oryginalną nazwą kryje się tradycyjna kasza z suszonymi śliwkami i gruszkami, doprawiana miodem, według przepisu, którego strażniczkami są panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Woli Rzędzińskiej.

Paweł Chwał

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Dzięki paniom z Koła Gospodyń Wiejskich o rzędzińskim siuśpaju usłyszała cała Polska

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Potrawa przyrządzana jest według przepisu z XIX wieku

FOT. PAWEŁ CHWAŁ

Może i nie wygląda zachęcająco, ale smakuje doskonale

Siuśpaj idealnie pasuje do wigilijnego menu. Jest to danie postne, do jego przygotowania nie potrzeba mięsa, jedynie kilka powszechnie dostępnych składników. Połączone razem, w odpowiednich proporcjach, tworzą uniwersalną potrawę, która zimą podawana jest zazwyczaj na ciepło, a latem na zimno.

W domu Wiesławy Mitery siuśpaj serwowany był od dziecka. Teraz ona sama jest kontynuatorką tradycji rodzinnej i często sięga po przepis na tę wyjątkową kaszę na słodko. W wolańskim kole nazywana jest wręcz specjalistką od siuśpaja. Kiedyś - na podtarnowskich wsiach - spożywano go na co dzień, głównie jako drugie danie do obiadu lub jako pokrzepiający posiłek przyrządzany podczas prac polowych, często ze słodkim mlekiem, do zalania albo popicia.

- Gospodynie idąc w pole na cały dzień, choćby do żniw, nie miały czasu, ani też możliwości na to, aby gotować dwudaniowy obiad. Przygotowywały więc dzień wcześniej gar kaszy z suszem, która podawana była wówczas na zimno, jako sycący i dodający energii posiłek. Na dodatek niskokaloryczny, który dobrze wpływa na trawienie - przekonuje Wiesława Mitera.

Panie z Koła Gospodyń Wiejskich w Woli Rzędzińskiej nawiązują do tej tradycji i siuśpajem obowiązkowo częstują co roku gości sierpniowych dożynek.

Wigilijna wersja

- Starsi znają ten smak, młodsi nie za bardzo. Nawet krzywią się i kręcą nosem, kiedy namawiamy ich, żeby skosztowali. Potrawa, to fakt, nie wygląda może zachęcająco, ale jak już spróbują, to zazwyczaj proszą o dokładkę. Połączenie, miodu, owoców i delikatnego smaku kaszy powoduje, że otrzymujemy aromatyczny, słodki deser - tłumaczą gospodynie.

Zimowa wersja siuśpaja, kojarzona przede wszystkim z wigilią podawana jest na ciepło. Do jej przyrządzenia potrzeba:

- 2 szklanki kaszy jęczmiennej wiejskiej lub pęczak
- 20 dag śliwek suszonych
- 10 dag gruszek suszonych
- miód lub cukier
- powidła węgierkowe do smaku

Przygotowania do wykonania potrawy najlepiej zacząć dzień wcześniej.

- Śliwki i gruszki trzeba bowiem moczyć osobno przez około 12 godzin, podobnie jak kaszę, którą przed namoczeniem należy uprzednio wypłukać - wyjaśnia Wiesława Mitera.

Dopiero po tym czasie można przejść do kolejnego kroku.

- Osobno gotuję najpierw śliwki i gruszki, a następnie kaszę do miękkości. W osobnym garnku mieszam wszystko ze sobą i zagotowuję razem na delikatnym ogniu, dodając jeszcze do smaku delikatnie powidła śliwkowe, a na koniec dosładzam powstałą w ten sposób masę miodem, dodając go do lekko przestudzonej już kaszy, by nie stracił swoich wartości odżywczych - tłumaczy gospodyni.

Tak przygotowany siuśpaj można już podawać na stół. Niektórzy lubią go jeść z dodatkiem zimnego mleka, którym polewa się porcję nałożoną na miseczkę czy talerz.

- Podczas wigilii siuśpaj serwuję zazwyczaj już na sam koniec, jako deser wieńczący całą kolację. Tak podawała moja mama, tak też i ja robię u mnie w domu - dodaje Teresa Mitera, kolejna z przedstawicielek KGW w Woli Rzędzińskiej.

Specjał z Małopolski na ministerialnej liście

Staraniem członkiń koła i gminy Tarnów przygotowywana przez miejscowe gospodynie potrawa została w 2012 roku wpisana na Listę Produktów Tradycyjnych Ministerstwa Rolnictwa, dołączając m.in. do innych znanych produktów z Małopolski, jak bryndzy podhalańskiej, kiełbasy lisieckiej, chleba prądnickiego, oscypka czy obwarzanka krakowskiego.

Dzięki temu o rzędzińskim siuśpaju usłyszała cała Polska. Bo choć kiedyś potrawa z kaszy, śliwek, gruszek i miodu była bardzo popularna zwłaszcza na wsiach, gdzie mieszkańcy chętnie korzystali z darów natury, mając niezbędne składniki do zrobienia tego specjału pod ręką, to obecnie jest ona kompletnie zapomniana.

- Mam rodzinę i znajomych w innych częściach kraju. Kiedy opowiadam im o tym, że u nas na wigilię jemy kaszę z suszem, doprawioną miodem z wolańskich pasiek to otwierają szeroko oczy ze zdziwienia. Zresztą nie trzeba wcale jechać daleko. Młodzi nie garną się do tego, aby przejmować tradycje kulinarne. Obawiam się, że jak nas zabraknie to i o siuśpaju niewielu będzie pamiętać - mówi Jadwiga Tott, pełniąca obowiązki prezeski KGW w Woli Rzędzińskiej.

Skąd nazwa siuśpaj?

Trudno jednoznacznie wskazać, dlaczego kasza z suszem firmowana jest pod nazwą siuśpaj. Wiadomo, że potrawa przygotowywana jest według przepisu, który był znany już w drugiej połowie XIX wieku.

Z wywiadu etnograficznego, przeprowadzonego z mieszkańcami Woli Rzędzińskiej wynika, że na kaszę z suszonymi śliwami i miodem mówiło się ciućpa, bo było wymieszane, a wyciućpaj znaczyło kiedyś wymieszaj. Słowo siuśpaj najprawdopodobniej pochodzi właśnie od tego określenia.

- Mój brat ożenił się z dziewczyną z Tarnowa. Przed pierwszymi świętami w nowym domu powiedział do niej: „Ty musisz jeszcze przygotować siuśpaj na wigilię". Zaskoczona dopytywała co to jest? I tak to już przyjęło się na stałe. Pod taką nazwą zgłosiliśmy naszą kaszę z suszem na ministerialną listę produktów tradycyjnych, gdzie jest wpisana właśnie jako siuśpaj - tłumaczy Wiesława Mitera.

Panie z KGW w Woli Rzędzińskiej mają także w swoim menu inną potrawę o oryginalnej nazwie. To siuśbak. To bardzo sycąca masa z kaszy i fasoli z dodatkiem boczku i kawałków piersi kurczaka. Na wigilię się nie nadaje, ale już na pierwszy czy drugi dzień świąt jak najbardziej.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

ZAWÓD: PRYWATNY DETEKTYW. TO WCIĄŻ BRZMI DUMNIE

Wszyscy wszystkich szpiegują. Dziewczyny sprawdzają chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Ludzie sobie nie ufają. Ale dzisiaj prywatni detektywi nie biegają już tylko po mieście z aparatem fotograficznym i dyktafonem. Specjalizują się w białym wywiadzie, pracują dla banków, wielkich firm, inwestorów

Dorota Kowalska

Krzysztof Szumlas, w zawodzie od 2011 roku. Obecnie w Wanted Polska, w firmie pracuje dziesięć osób: detektywi, analitycy, specjaliści od białego wywiadu – OSINT. To jak mówi, przedsiębiorstwo wyjątkowe w skali kraju z jednej strony – przez skalę usług, jakie oferują, z drugiej – przez możliwości, które posiadają. Niechętnie zgadza się na rozmowę, czasy detektywa Rutkowskiego już dawno minęły. Dzisiaj zasada jest prosta: Im ciszej o ich pracy, tym lepiej.

– Detektyw powinien rozpocząć realizację zlecenia i ją zakończyć, a o tym, że zlecenie było realizowane, osoba czy strona, której zlecenie dotyczyło, powinna się dowiedzieć na sali sądowej z materiału, który dostarczyliśmy, względnie w trakcie negocjacji czy podczas zwolnienia pracownika. Nie powinniśmy zostawić śladów po swojej działalności i ze względu na higienę pracy i ze względu na osobę, której dotyczy zlecenie. Nasza praca nie powinna zakłócać jej życia ani komplikować życia czy działalności zleceniodawcy – tłumaczy.

Z obyczajowych spraw, które prowadził, pamięta zlecenie dane przez pewną kobietę. Podejrzewała, że mąż ma kogoś innego, że przygotowuje się do rozwodu. To byli dosyć majętni ludzie. Jednak znaczna część majątku była efektem jego pracy zawodowej. Klientka zdecydowała się wynająć detektywa, żeby zweryfikował jej podejrzenia. Kobieta ustaliła, że mężczyzna miał przyjaciółkę znacznie od siebie młodszą. Zabrał ją na wczasy na Kubę. Na zlecenie klientki poleciał za nimi na te wakacje. Zebrał materiał, który z jednej strony potwierdził przypuszczenia klientki, z drugiej – pozwolił jej ubiegać się o orzeczenie rozwodu z wyłącznej winy męża, z trzeciej – postawił go w dość nietypowej sytuacji. Sędzia podczas przesłuchiwania Szumlasa w trakcie rozprawy rozwodowej nie mogła uwierzyć, że klientka wysłała go na Kubę. Jego wyjazd kosztował kobietę ponad piętnaście tysięcy złotych.

– To pan miał niezłe wakacje! – wtrącam.

To samo usłyszał od sędzi podczas przesłuchania, więc jej wytłumaczył: „Wysoki Sądzie, nie ma znaczenia, czy pracujemy w Koziej Wólce, czy pracujemy na Antarktydzie, czy na Kubie. Wykonujemy swoje obowiązki, realizujemy zlecenie, do którego zostaliśmy wynajęci i to, co się dzieje wokoło nie ma znaczenia. Celem naszego wyjazdu nie było wylegiwanie się na plaży. To nie były wakacje, tylko praca, gromadzenie informacji ważnych z punktu widzenia realizowanej sprawy. Pojechałem tam, tak samo jak pojechałbym do pracy w Koziej Wólce, nie ujmując niczego Koziej Wólce".

Kobieta otrzymała rozwód z orzeczeniem wyłącznej winy męża. Także dzięki materiałowi, który zgromadził, co, mówiąc szczerze, nie było trudne. Jej mąż wyjątkowo swobodnie zachowywał się na plaży, basenie i w restauracji ze swoją przyjaciółką, zresztą bardzo atrakcyjną kobietą.

Druga sprawa, która zapadła mu w pamięć, była raczej smutna. Rodzinne przedsiębiorstwo zatrudniło studentkę. Ta po zakończeniu studiów została dyrektorem do spraw handlowych. Właściciele nie mieli własnych dzieci, chcieli, żeby z czasem to ona przejęła przedsiębiorstwo. Tyle że w pewnym momencie okazało się, że z firmy zaczynają ginąć drogie, bardzo precyzyjne narzędzia i nikt nie potrafi powiedzieć, co się z nimi dzieje. Za pośrednictwem obsługującej ich kancelarii adwokackiej nawiązali kontakt z detektywem. Po miesiącu prowadzenia sprawy stwierdzili bez żadnych wątpliwości, że to pani dyrektor wynosi z firmy kosztowny sprzęt i sprzedaje go na Allegro przez konto swojej babci. Zresztą pozbywała się tych narzędzi za ułamek ceny, jakiej były warte. To była duża strata dla przedsiębiorstwa.

– Okradała swoich pracodawców i dobroczyńców zarazem. Robiła to od jakiegoś już czasu. To dla moich zleceniodawców było szokujące – mówi.

Sprawy obyczajowe są, z jednej strony, najbardziej angażujące, z drugiej – najmniej opłacalne. Stanowią jakieś czterdzieści procent spraw prowadzonych przez firmy detektywistyczne.

– Detektywi trochę babrają się w ludzkich brudach, co? – pytam.

– Bardzo często, tak – odpowiada Szumlas.

– To nie jest obciążające? Tak psychicznie po prostu.

– To jest pasjonujące.

– Co w tym pasjonującego?

– Pasjonująca jest odpowiedź na pytanie, które zadaje zleceniodawca: dlaczego coś się dzieje? I kolejne: czy może mi pan pomóc? Czy może mi pan pomóc wyjaśnić tą sytuację?

– To dla pana jak rozwiązywanie zagadki?

– To jest problem, który należy rozwiązać. W tym wszystkim jest człowiek, który potrzebuje pomocy: należy z jednej strony dojść do tego, co się wokół niego dzieje, a z drugiej: wskazać, kto to za tym stoi – odpowiada.

Dzisiaj nie prowadzi już spraw obyczajowych, ale po czasie przestał patrzeć na nie w sposób osobisty, po prostu realizował zlecenie. Chociaż dwa razy odmówił klientom.

– Raz zorientowałem się w momencie, kiedy podpisywaliśmy umowę, o co tak naprawdę klientowi chodzi i następnego dnia tę umowę wypowiedziałem. Za drugim razem, chyba po dwóch czy po trzech tygodniach okazało się, że klient chciał zaszkodzić komuś bliskiemu, a sytuacja rodzinna była bardzo szczególna. Prosiłem o spotkanie, zwróciłem zaliczkę, którą pobrałem i rozwiązaliśmy umowę. Powiedziałem wprost, że tego zlecenia realizować nie będę. To nie jest tak, że trzeba robić wszystko dla wszystkich bez względu na okoliczności. Nie trzeba – tego prawie jest pewny.

Sprawy detektywistyczne można podzielić na trzy grupy: obyczajowe i rodzinne właśnie, druga grupa to sprawy kryminalne lub z pogranicza kryminalnych, w których najczęściej przedsiębiorcy mają problem albo z pracownikiem, albo z nieuczciwą konkurencją, albo z nieuczciwym klientem. Kolejną sferą byłyby oczywiście sprawy gospodarcze.

– Uważam, że dla ludzi z naszej branży to przyszłość. Jeżeli ktoś tylko chce i potrafi trochę się w relacjach „business to business" odnaleźć, a nie zamykać się wyłącznie na relacje „business to client", to ten obszar daje o wiele większe możliwości i pracy i współpracy i rozwoju, także finansowego – tłumaczy.

Sprawy biznesowe to często współpraca z bankami, które przed udzieleniem kredytu jakiejś firmie deweloperskiej czy też związanej z importerem samochodów, maszyn, firmie handlowej, chcą mieć pewność, że klient jest rzetelny. Gra idzie przecież o grube miliony.

Weryfikują też potencjalnych kontrahentów, tak banków, jak firm, które na przykład szukają inwestora. Nagle taki inwestor się pojawia, współpraca z nim wydaje się atrakcyjna z punktu widzenia gospodarczo-finansowego, ale klient chce wiedzieć, czy to, co ów inwestor mówi o sobie, jest prawdą.

– Z naszych usług korzystają też firmy windykacyjne, które wykonują swoją działalność w oparciu o portfele dłużników zakupionych od banków. Jesteśmy właściwie kluczowym elementem wsparcia ich działalności w zakresie kontaktu z dłużnikami – przyznaje.

I tu zbliżamy się do sedna spraw: dzisiaj prywatni detektywi to nie są tylko i wyłącznie ludzie biegający po mieście z aparatem fotograficznym i dyktafonem.

To specjaliści od tak zwanego białego wywiadu, open source intelligence z angielska. Jeżeli ktoś nie korzysta z baz jawnych i takich, do których dostęp kosztuje, nie ma właściwie czego szukać w tym zawodzie. Ilość informacji znajdujących się w sieci jest ogromna. Umiejętność ich pozyskiwania – kluczowa.

– Jak się zmienił ten rynek przez ostatnie lata? – dopytuję.

– Naszą pracę reguluje ustawa o usługach detektywistycznych, która w art. 2 opisuje, czym tak naprawdę są usługi detektywistyczne, a czym nie są i czego, jako detektywi, realizować nie powinniśmy. Były trzy zdarzenia, które wpłynęły znacząco na to, co robimy – odpowiada Krzysztof Szumlas.

Pierwsze to zmiana stanu prawnego. W 2015 roku weszła w życie ustawa o deregulacji, która zmieniła zasady uzyskiwania licencji, bardzo je uprościła. Zniosła egzamin państwowy, który obowiązywał do 2015 roku. A to był trudny test, dopuszczający do tego zawodu ludzi z określoną wiedzą i kwalifikacjami. Do 2015 roku dwa razy w roku w komendach wojewódzkich były organizowane takie egzaminy, przechodził je jeden na ośmiu kandydatów. W Polsce w tym czasie pracowało około czterystu licencjonowanych detektywów. Po 2015 roku zasady się zmieniły, egzamin został zniesiony i tak mamy dzisiaj ponad cztery tysiące wydanych licencji. To, jak mówi, wpłynęło destrukcyjnie na ten rynek.

Bo dzisiaj detektywem może zostać praktycznie każdy, o ile nie jest karany, ma minimum średnie wykształcenie i posiada pozytywną opinią lekarską o swoim stanie zdrowia. Może dlatego w sądach spraw przeciwko ludziom z ich branży jest mnóstwo – klienci dowodzą albo zwrotu pieniędzy, albo skarżą się o niewłaściwe wykonanie zlecenia.

– Wiem z doświadczenia, że ludzie, którzy wykonują ten zawód w tej chwili, bardzo często robią to niesumiennie, nierzetelnie, zbyt wiele obiecując klientowi, bez właściwej oceny tak sprawy, jak i swoich możliwości w zakresie jej rozwiązania – mówi Szumlas.

Pieniądze? Stawki są bardzo różne, zależą od charakteru zlecenia. To może być 2 tysiące złotych za wykonanie jednorazowej obserwacji zakończonej sprawozdaniem, jakimś materiałem audio video czy materiałem fotograficznym. Są też zlecenia na 20, 30, 50 tysięcy złotych związane najczęściej z biznesem.

Kolejna sprawa, która zmieniła ich zawód to wejście w życie przepisów o ochronie danych osobowych osób fizycznych, czyli RODO. W 2018 roku wprowadzono w życie ogólne rozporządzenie o ochronie danych osobowych, w efekcie czego znowelizowano również „ich" ustawę.

– Wszystko, co robimy, jest przetwarzaniem danych osobowych osób fizycznych. Te dane są chronione. Musimy podporządkować się pod rygory, które nakłada na nas RODO. Nie potrzebujemy zgody osób, których dane, na podstawie zawartej umowy, przetwarzamy, ale ciążą na nas, jako na podmiotach przetwarzających, czyli tzw. procesorach, określone obowiązki, tak względem klienta – administratora danych, jak i w związku z samymi danymi – tłumaczy.

To ostatnie często generuje konieczność zawarcia z klientem dodatkowej umowy, tzw. Umowy Powierzenia Przetwarzania Danych Osobowych. Bo dane osobowe to nie tylko imię, nazwisko i nr PESEL. Dane osobowe to też wizerunek, zarejestrowany na nagraniu czy na zdjęciach, to głos, to adres e-mail, nr telefonu. To też recepta z zapisanymi lekami (szczególne kategorie danych osobowych), informacje o pobycie osoby w więzieniu, wyroku skazującym i czasie odbywania kary (osobna kategoria danych osobowych). Trzecią sprawą, która zmieniła rynek była pandemia. Zrobiła w ich branży dużo złego. Wielu ludzi opierało się w swojej działalności tylko i wyłącznie na sprawach obyczajowych, sprawach rodzinnych. Te dwa lata zredukowały tego typu zlecenia o 90 procent i jeżeli ktoś bazował tylko i wyłącznie na nich, nie miał szans przetrwać na rynku.

– Lubi pan swoją pracę? – dopytuję.

eprasa.pl 176856116b

FOT. 123 RF

Dzisiejsi detektywi oczywiście nie noszą kapeluszy i nie włamują się do biur, by przejrzeć dokumenty. Ich praca to raczej dedukcja, praca z nowoczesnymi gadżetami oraz zbieranie faktów

– Gdybym nie lubił, odszedłbym z tego biznesu – tak odpowiada.

Ale wrócimy trochę do korzeni. Lata 90. i potem początek XXI wieku, to był czas, kiedy w Polsce pojawili się pierwsi detektywi. Świat mocno się zmieniał. Wszyscy szpiegowali wszystkich. Dziewczyny sprawdzały chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Ludzie sobie nie ufali. A detektyw to taki ksiądz. Ludzie bez większych oporów przyznają mu się do damsko-męskich niepowodzeń. Bez żenady opowiadają o łóżkowych porażkach, awanturach, podejrzeniach. A potem bez skrupułów każą śledzić – współmałżonka, kochanka, partnera.

Wtedy, to trzydzieści lat temu, detektyw – to brzmiało dumnie. Ponad trzy miliony Polaków nałogowo oglądało „Detektywów", w których gliniarze z „W-11" – Maciej Friedek i Marzena Fliegel – założyli biuro detektywistyczne, łapali złodziei, uwalniali porwanych, śledzili małżonków. A jak komuś „Detektywów" było mało, mógł się jeszcze pogapić na „Detektywa", czyli Krzysztofa Rutkowskiego.

Rutkowski zawsze chciał błyszczeć. Absolwent sochaczewskiego liceum ogólnokształcącego, jak zawsze był człowiekiem o wielkich ambicjach i wyobraźni. Karierę zaczynał w Milicji Obywatelskiej i warszawskim oddziale ZOMO. Ale w wolnej Polsce postawił na działalność gospodarczą. Założył firmę detektywistyczną i wziął się za odzyskiwanie skradzionych samochodów. Potem przerzucił się na porwania, ponoć dlatego, że zagraniczne towarzystwa ubezpieczeniowe nie chciały z nim współpracować. Rutkowski od samego początku wiedział, co znaczy dobry PR i doszedł do perfekcji w promocji samego siebie. Kiedy w 2001 roku przejmował siłą od najemców w całym kraju stacje benzynowe należące do koncernu Aral, zawsze dbał o odpowiednią oprawę akcji. Jego ludzie wpadali na stacje uzbrojeni niczym brygada antyterrorystyczna: kamizelki kuloodporne, kominiarki, wyważali drzwi, wybijali szyby i pewnie, gdyby nie kamery, rzucaliby na ziemie oniemiałych pracowników stacji. Bo dziennikarze nie odstępowali Rutkowskiego na krok i każdą z tych akcji filmowali. Skąd wiedzieli o planowanym „wejściu" detektywa? Rutkowski sam dawał zaprzyjaźnionym dziennikarzom cynk.

Potrafił działać z rozmachem i umiał korzystać ze starych znajomości. Od początku to policjanci byli jego głównymi informatorami i pomocnikami. Zawsze kupował gotowe informacje i ukazywał je jako własne sukcesy. Nie można odmówić mu pomysłowości. Bo kiedy już nie miał się czym pochwalić, w prasie pojawiały się nagle super newsy, że oto najsłynniejszy polski detektyw wyjeżdża łapać snajpera do Stanów Zjednoczonych albo Husajna do Iraku.

Tyle że miał też coraz więcej wrogów. Rzucał oskarżeniami na prawo i lewo, słał do komendy policji donosy na swoich byłych kolegów, często działał na granicy prawa. Znany był także, jako „20 tysięcy plus wat", bo tyle żądał od swoich klientów, obiecując pomoc w odbiciu porwanego i taka przylgnęła do niego ksywa.

Zawsze pojawiał się tam, gdzie kamery. Może stąd, kiedy cała Polska szukała małej Madzi w Sosnowcu, był na miejscu i wydobył z Katarzyny W., matki dziewczynki, przyznanie się do winy. Upuściła córkę, potem zakopała w zamarzniętej ziemi. Badał zaginięcie Iwony Wieczorek, potem Ewy Tylman – głośne, medialne sprawy.

Uzależniony od blasku fleszy poszedł do polityki, a konkretnie do Samoobrony. Złośliwi dodają, że z jeszcze jednego powodu: stał się nietykalny, bo chronił go przecież immunitet poselski.

Nie zagrzał na Wiejskiej zbyt długo miejsca. Nie dostał przepustki do Parlamentu Europejskiego w 2004, rok później bezskutecznie startował do Sejmu z listy Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Za to coraz częściej meldował się w prokuratorze, został zatrzymany przez funkcjonariuszy ABW, potem tymczasowo aresztowany w związku z podejrzeniem o pranie brudnych pieniędzy i poświadczanie nieprawdy. Koniec końców, w 2010 roku Rutkowski stracił licencję detektywa, dwukrotnie został prawomocnie skazany. Dzisiaj znany jest głównie z nieoczywistych fryzur. Robi za celebrytę.

Michał Rapacki trzyma się z dala od mediów, na rynku od 2005 roku. Prowadzi firmę detektywistyczną, ale i doradczą. „Obyczajówką" się właściwie nie zajmuje, chyba że ktoś przyjdzie, poprosi. Jedną z takich spraw, bardziej kryminalną zresztą niż obyczajową, pamięta doskonale. Chodzi o głośną już historię Adama Dudały. W 2001 roku Dudała otrzymał wezwanie na jeden z warszawskich komisariatów. Stawił się tam następnego dnia, myślał, że chodzi o jakąś drobnostkę albo pomyłkę. Został oskarżony o zabójstwo dwóch osób. Nie wierzył w to, co się dzieje. Był pewien, że sytuacja zaraz się wyjaśni. Od tamtego dnia już nie wyszedł na wolność. Dudałę obciążył podlaski bandyta Sławomir R. ps. Woźny, który sam był zamieszany w morderstwo. Kiedy poszedł na współpracę i zaczął sypać kolegów, opowiedział śledczym o niejakim „Adamie z Warszawy", który miał odpowiadać za egzekucje właściciela i ochroniarza z dwóch różnych agencji towarzyskich. Sam Dudała w latach 90. działał w warszawskim półświatku, miał być powiązany z gangiem pruszkowskim. Odsiedział pół roku za wymuszenia i rozboje. Po rozbiciu mafii w 2001 roku rozpoczął nowe życie, założył klub bilardowy na warszawskiej Woli. Mimo jego przeszłości, ludzie z jego otoczenia nie wierzyli, że Dudała mógłby kogoś zabić. Innego zdania był prokurator i sąd – Dudała trafił na 25 lat do więzienia.

– O pomoc poprosiła mnie była żona Adama Dudały. Jestem pewien jego niewinności – podkreśla Rapacki. I dodaje, że to historia, której nie zapomni. Ma świadomość, że w więzieniu siedzi niewinny człowiek.

Na co dzień zajmuje się jednak sprawami gospodarczym. W pewien sposób, jak mówi, wyręczają policję. Od kiedy pamięta, przestępczość gospodarcza była w Polsce traktowana przez organa ścigania po macoszemu.

– Policjanci, prokuratorzy, ale i sądy nie rozumieją przestępczości gospodarczej. Karalność za przestępstwa gospodarcze zawsze była niska, tymczasem ona przynosi sprawcom bardzo duże profity. Bardzo łatwo jest przekroczyć granicę między legalnością działania w obrocie gospodarczym między dwoma czy kilkoma podmiotami, a chociażby wprowadzeniem w błąd kontrahenta w celu dokonania oszustwa – tłumaczy Michał Rapacki.

I dodaje, że śledczy najchętniej umarzają sprawy gospodarcze, licząc na to, że pokrzywdzeni nie będą korzystali ze swoich praw, nie będą zaskarżać ich decyzji, a swoich racji będą dochodzić na drodze cywilnej.

– Jeżeli jest oczywiste, że ktoś naruszył prawo, staramy się gromadzić dowody, wykonywać analizy kryminalne, tak żeby to przestępstwo wyjaśnić organom ścigania. Wtedy te mogą podjąć stosowne czynności procesowe – mówi.

Ograniczają go przepisy prawa, bo ich łamać nie wolno. Natomiast jeśli chodzi o mobilność, o rozpoznanie, pracę w terenie, pracę na dokumentach, nie ma takich ograniczeń jakie mają chociażby policjanci, dla których praca poza granicami Polski czy na terenie innych województw to trwająca tygodniami wymiana korespondencji, w czasie, gdy przestępcy zacierają ślady lub uciekają. Policja nie korzysta także z dostępnych komercyjnych narzędzi analitycznych, bez których często dochodzenie do prawdy jest utrudnione lub wręcz niemożliwe. Detektywa gospodarczego ograniczają poza oczywistymi przepisami prawa, wyłącznie chęci i budżet klienta. Nie bawi się w telefonogramy, w przesłuchania na odległość – wykonuje wszystkie czynności, które powinni wykonywać śledczy, żeby dowody zebrać i uprawdopodobnić przestępstwo.

– Nasi klienci często traktowani są nie jak pokrzywdzeni przedsiębiorcy, a jak krwiopijcy, którzy powinni się znać, wszystko wiedzieć, potrafić, nie dać się oszukać – wzrusza ramionami.

– Kto najczęściej jest pana zleceniodawcą? – pytam

– Duże przedsiębiorstwa, spółki giełdowe, spółki prawa handlowego, czasami mniejsi przedsiębiorcy – odpowiada.

Rapacki prowadzi nie tylko działania zaradcze, czy też naprawcze związane z jakimś pokrzywdzeniem klienta. Skupia się również na prewencji, choćby na wywiadzie gospodarczym, coraz częściej wymaganym przez międzynarodowe przepisy.

– Krótko mówiąc, staramy się ocenić ryzyko nawiązania współpracy z taką, a nie inną firmą – tłumaczy.

– Czyli taka praca zza biurka? – dopytuję.

– Nie, nie, absolutnie nie! Od dawna wychodzimy poza biały wywiad. On jest podstawą do tego, żeby wyjść w teren, ale pewnych rzeczy nie da się zrobić zza biurka, więc pracujemy z osobowymi źródłami informacji, skupiamy się na rozpoznaniu, na wywiadzie środowiskowym, na wywiadzie operacyjnym, wykonujemy całą masę czynności w terenie – mówi.

Stawki? Bardzo różne, ale duże, pracochłonne zlecenie, to spore pieniądze.

Dzisiaj niewiele się zmieniło: wszyscy szpiegują wszystkich. Dziewczyny sprawdzają chłopaków, narzeczeni narzeczone, rodzice przyszłych zięciów i synowe. Zawód: prywatny detektyw – wciąż brzmi dumnie. Tyle że dzisiaj to już często zupełnie inna robota.

eprasa.pl 176856116b

Polska
Poniedziałek, 22.12.2025

W PERU ŚWIĘTA PACHNĄ PANETÓNEM. TRUDNO JEDNAK NIE WIDZIEĆ BIEDY I WYZYSKU DZIECI

Peru to bardzo rozległy i wielokulturowy kraj, więc święta różnią się w zależności od regionu. Ale wszędzie spędza się je rodzinnie, w gronie najbliższych

Joselyn del Rosario, peruwiańska antropolożka mieszkająca w Słupsku

Żeby to lepiej zrozumieć, zacznę od naszych trzech głównych stref i porównam je z polskimi miejscami. Peruwiańskie wybrzeże, ciepłe i suche, przypomina polskie miasta jak Poznań czy Wrocław latem.

Andy, zimne i górzyste, kojarzą się z Zakopanem.

Peruwiańska dżungla, tropikalna i wilgotna, nie ma dokładnego odpowiednika w Polsce, ale częściowo można ją porównać do gęstych lasów Białowieży czy Mazur, choć te nie są tropikalne.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci", i to prawda. Święta są dla nich

Święto przywieźli konkwistadorzy

Z powodu różnic klimatycznych i geograficznych, Boże Narodzenie obchodzimy zupełnie inaczej w każdej części Peru. Warto dodać, że to święto nie pochodzi z naszej kultury, przyjęliśmy je z Europy i Ameryki pod wpływem hiszpańskiej inwazji, która siłą narzuciła nam katolicyzm, historię narodzenia Jezusa, msze w kościele, dekoracje, prezenty i kolędy. Później, dzięki globalizacji, poznaliśmy Świętego Mikołaja ze świątecznych filmów - ze śniegiem, kominami i scenami rodzin otwierających paczki przy gorącej czekoladzie.

Wyobraź sobie picie gorącej czekolady w suchym upale wybrzeża czy w dusznej wilgoci dżungli. Brzmi dziwnie, ale tak mamy w Peru. Mimo to w grudniu zawsze czujemy, że coś nie do końca do nas pasuje, bo ta tradycja nie wyrasta z naszej historii ani kultury.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: są w niej gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami

Problem ze Świętym Mikołajem

Jeśli pytacie, czy w Peru wierzymy w Mikołaja, powiem, że większość dzieciaków marzy o nim, ale dorośli często nie, bo u nas nie ma śniegu, kominów, a nasze zwyczaje mieszają się z lokalną tożsamością, tworząc święta inne niż w filmach czy tu, w Polsce. Chociaż większość Peruwiańczyków to katolicy, więc podobieństwa są: dekoracje, wieniec adwentowy, wizyty w kościele, szopki.

Dorośli Peruwiańczycy mówią: „Boże Narodzenie jest dla dzieci", i to prawda. Święta są dla nich, ale trudno utrzymać wiarę w Mikołaja czy świąteczną magię, gdy wiele dzieciaków pracuje od najmłodszych lat. Ameryka Łacińska ma wiele problemów: ogromne nierówności, bogaci obok tych, co nie mają nic.

Na ulicach Peru w grudniu dzieci sprzedają zapałki, petardy, kadzidła czy słodycze albo pomagają matkom na jarmarkach i targach. Często widać sieroty w sklepach, myjące auta czy robiące drobne prace. Myślę, że wiele z nich nie zna tradycji pisania listów do Mikołaja – ich marzenia to nie zabawki, ale zmiana losu, „filmowe święta" czy choć ciepła kolacja i rodzinny uścisk.

Aromaty świąt i szopka

Ale święta i tak przychodzą. Ulice pachną chlebem, kadzidłem i panetónem (słodki chleb bożonarodzeniowy) - po tym aromacie wiemy, że grudzień nastał.

W moim Huancayo większość domów nie ma własnego pieca, ale są komunalne piekarnie, gdzie ludzie zbierają się, by piec panetón i tradycyjną tantę wawę - słodki chleb z mąki kukurydzianej, bez drożdży, w różnych kształtach.

W dni przed świętami rodziny stroją choinkę i szopkę. Peruwiańska szopka jest wyjątkowa: kupujemy gipsowe figurki z Jezusem, często z lamami, alpakami, Andkami w strojach cholita czy andyjskimi krajobrazami. Dzieciątka nie stawiamy w szopce od razu, czeka do północy 24 grudnia. W niektórych domach urządzamy konkursy na najpiękniejszą dekorację i szopkę.

Wigilijna kolacja

Na Wigilię, o północy, spotykamy się u krewnych, gospodarza losujemy. Tego dnia ulice wypełniają stragany z lampkami, ozdobami, sztucznymi choinkami i fajerwerkami. To wir kolorów, hałasu i zapachów, wysiłek milionów rodzin, by świętować, dużo czy mało.

Rodziny zbierają się na kolację: indyk, pieczona wieprzowina czy asado z puree ziemniaczanym i ryżem. Jedzenie wyjmują z pieca godzinę przed północą. Panie chodzą po swoje wypieki do piekarni. Nie może brakować gorącej czekolady z cynamonem, goździkami i mlekiem, plus panetón.

O północy dorośli dają prezenty dzieciom. Rodzice mówią: „Mikołaj był zajęty, poprosił nas o pomoc". Dzieci otwierają paczki po jedzeniu, dlatego Mikołaj u nas to bardziej iluzja.

Świętowanie od północy

W Peru nie odpoczywamy po kolacji. Odliczamy: 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1... i jest północ, 25 grudnia. Ludzie wychodzą na ulice, witają sąsiadów, sklepy otwarte, dzieciaki puszczają fajerwerki. W domach gra muzyka, często cumbia, choć to zależy od rodziny.

Rano odwiedzamy tych krewnych, z którymi nie było nas o północy, i szykujemy słynną pachamancę - flagowe danie Huancayo.

Pachamanca symbolizuje rodzinę, bo wszyscy muszą pomóc. Mężczyźni kopią dół, wybierają specjalne kamienie (złe pękają od żaru), palą drewno, aż się rozgrzeją. Kobiety marynują jagnięcinę, wieprzowinę, kurczaka czy wołowinę w andyjskich ziołach, ají, czosnku i soli. Przygotowują ziemniaki, kukurydzę, fasolę. Dzieci pomagają - ich małe rączki są idealne do obierania kukurydzy i humitas. Na gorące kamienie idą mięsa i warzywa, przykryte liśćmi, mokrymi workami i ziemią. Gotuje się kilka godzin. Gdy otwieramy, wszyscy dzielimy się jedzeniem. To piękny rytuał jedności rodzinnej.

Mój pierwszy śnieg

Na wybrzeżu 25 grudnia to plaża - letni dzień nad morzem z ceviche (sałatka z owocami morza). Nikt nie próżnuje: chaos, ale piękny, wciągający. Inaczej niż w Polsce, gdzie święta są cichsze, bardziej kameralne.

Mieszkam w Polsce trzy lata, w Słupsku, i pamiętam pierwszy śnieg. Pracowałam w fabryce ryb, w porze lunchu stanęliśmy, patrząc, jak pada przy pomarańczowym zachodzie. Pierwszy raz dotknęłam śniegu, czułam się jak w filmie: biel i błysk to czysta magia.

Potem znienawidziłam zimno, ale ten moment został. Przeżyłam to, co znałam z filmów, choć bez rodziny, tylko z peruwiańskimi kumplami, którzy jak ja przyjechali tu po lepsze życie i by pomóc bliskim.

Chciałabym, by moja rodzina zobaczyła i poczuła to, co ja, choć czasem melancholijnie. W Słupsku tworzymy więzi: przyjaciele stają się rodziną. Razem próbujemy odtworzyć nasze święta, by być bliżej domu. ©℗

eprasa.pl 176856116b

pod PARAGRAFEM

W KINACH

Nie podchodź do niego, Liz!
Od 26 grudnia w kinach amerykańsko-kanadyjski horror „Bezpieczne miejsce" w reż. Osgooda Perkinsa. Fabuła jest prosta: romantyczny weekend w odosobnionej chatce zmienia się w koszmar, gdy jedna z bohaterek zostaje sama z czymś, co nigdy nie powinno zostać obudzone. Grają m.in. Tatiana Maslany, Claire Friese, Rossif Sutherland, Birkett Turton i Erin Boyes.

W NASTĘPNYM NUMERZE:

„Ten dzień był prawie dniem sądu Bożego..."
Pożar Krakowa w 1850 r. uznawany jest za jedno z najtragiczniejszych wydarzeń, jakie dotknęły miasto w XIX stuleciu.

John Rambo, który ustawiał świat do moralnego pionu

B. Piskała, S. Majerowski
redakcja@polskatimes.pl

„Rambo - Pierwsza krew" wszedł na ekrany 22 października 1982 r. W Anglii premierowała Thatcher, prezydentem USA już drugi rok był Reagan, a w Polsce zdelegalizowano Solidarność.

Film odniósł gigantyczny sukces i właściwie odnosi go do dziś. Niezadowolony był tylko David Morrell, na podstawie książki którego stworzono scenariusz. Morrell napisał bowiem powieść ostro antywojenną, z zupełnie innym zakończeniem. Chcąc nie chcąc, został militarystą, apologiem surwiwalu, maczyzmu i prawicowej wolności.

Film powstał na podstawie książki Davida Morrella „Rambo: Pierwsza krew" z 1972 roku. Tytułowy Rambo popełnia w niej samobójstwo

Stawki były za niskie?

Indywidualizm, prawicowość, wolność - owszem. Ale Rambo jako prekursor surwiwalu? Okazuje się, że jak najbardziej. Od dziesięcioleci „Pierwsza krew" jest bowiem obecna na listach najlepszych filmów o tematyce surwiwalowej. Ale w latach 80., w czasach zimnej wojny, na ten film patrzono raczej jak na deklarację światopoglądową, a nie instruktaż przetrwania w lesie.

Tamte czasy potrzebowały twardzieli i producenci z Orion Pictures dali widzom taką właśnie postać. Film wyreżyserował Ted Kotcheff, budżet opiewał na ponad 15 mln dolarów, czyli całkiem sporo, a zdjęcia kręcono w Kanadzie i w Kolumbii Brytyjskiej, bo tam taniej.

Najwięcej kłopotów było z wyłonieniem odtwórcy Rambo. Rolę odrzucili wszyscy znani ówcześnie aktorzy: od Clinta Eastwoda, Steve'a McQueena, Roberta De Niro, do Paula Newmana. Tłumaczenia ich menedżerów były najróżniejsze: że film promuje przemoc, że sceny brutalności sięgają patologii, że wymowa dzieła jest „antyamerykańska" itd. Al Pacino popisał się ponoć stwierdzeniem, że „nie będzie grał prawicowego szaleńca". Czyli po raz kolejny aktorzy zademonstrowali tzw. moralną wyższość.

Jednak w 1983 roku w jednym z wywiadów David Morrell szczerze wyznał, że wie z przecieków, że zaproponowano im zbyt małe stawki, co potraktowali jako afront. Potem oczywiście zdementował to, co powiedział, ale najprawdopodobniej w tej plotce tkwiło ziarno prawdy.

Self-made-man

Odmowa kwiatu hollywoodzkiego aktorstwa tylko się „Rambo" przysłużyła. Szybko dogadano się bowiem z Michaelem Sylvestrem Gardenzio Stallone'em, który piął się wytrwale po drabinie sławy, a po „Rockym" i „Nocnym jastrzębiu" był już bardzo rozpoznawalny. Wysoki, umięśniony, odpowiednio gębaty, umiejący boksować (w czerwcu 1982 r. prężył się półnagi na okładce „Time'a" z popularnym wówczas bokserem Gerrym Cooneyem) i żarliwie proamerykański. Co w przypadku wymienionych wcześniej, deklarujących ostentacyjnie swój wydelikacony liberalizm, było niezwykle ważne.

Czy producenci wiedzieli, decydując się na angaż Stallone'a, że trafią na czuły punkt w pojmowaniu świata przez amerykańskich kinomanów? Prawdopodobnie nie. „Rambo" miał być kolejną sensacyjną opowiastką o samotnym herosie, który stawia czoła małomiasteczkowemu systemowi. Owszem, ale do tego doszło coś więcej: mit niezwyciężonego patriotycznego amerykańskiego self-made-mana, zrodzony - ku wściekłości wielkomiejskiej lewicy - za prezydentury Ronalda Reagana.

Stallone pojawił się otoczeniu aktorów solidnych, choć raczej z drugiej ligi. Co zrozumiałe, bo to on miał skupiać uwagę. Jego dowódcę z Wietnamu zagrał Richard Crenna, zaś szeryfa Brian Dennehy, który żalił się potem, że w „Rambo" zrobiono zeń szwarccharaktera, na widok którego ludzie odwracają się z niechęcią.

Prawica i lewica

Czas na film, zakwalifikowany jako dramat sensacyjny, choć zawiera elementy thrillera politycznego oraz kryminału z wątkiem socjologicznym. Rzecz pokrótce idzie tak: John J. Rambo, weteran komandos, odziany w wojskowe buciory i kurtkę, przybywa do małego miasteczka w stanie Waszyngton, by odwiedzić Delmara Berry'ego, ostatniego z żyjących przyjaciół z oddziału.

Na miejscu dowiaduje się, że Berry już nie żyje, więc nasz wstrząśnięty bohater wędruje przez amerykańską prowincję, rozpamiętując swoje zmarnowane życie. Przymaszerowuje wreszcie do miasteczka Hope, gdzie ma spięcie z tamtejszym szeryfem Willem Teaslem. Szeryfowi nie podoba się podejrzany brudny powsinga, wywozi go więc za miasto.

Dla większości komentatorów ten właśnie moment jest kluczowy dla całego filmu, ujawniając konflikt między dwiema koncepcjami prawno-moralnymi, którym hołduje Ameryka: indywidualnej wolnością i prawem, które w imię ochrony lokalnej społeczności eliminuje obcych. Niektórzy przekładają to na ideologie polityczne: ów nieograniczony indywidualizm miałby być synonimem libertariańskiej prawicowości, a zamknięty system praw i zakazów skostniałego liberalizmu.

Co ciekawe, są oczywiście tacy, którzy odwracają porządek: Rambo jest dla nich lewicowym wichrzycielem burzącym ład społeczności żyjącej wedle ustalonych (prawicowych) praw, a szeryf, wyrzucając go z Hope, stoi konsekwentnie na ich straży. Ta dyskusja wciąż jest otwarta i z biegiem lat nabiera nowych odcieni.

Zostaje demolka

Ale co z Rambo? Aresztowany przez szeryfa dostaje ostry łomot na posterunku, a gdy jeden z policjantów chce go złośliwie ogolić na sucho, pamięć podsuwa Johnowi traumatyczne wspomnienia z tortur w Wietnamie, którym poddali go czerwoni. Rambo w brawurowy sposób ucieka więc z komendy i zaszywa się w lesie. Tam przywdziewa barwy wojenne i jest gotów do rozprawy z nowym wrogiem. Ponownie czuje się jak w dżungli.

Potem jest już tylko nawalanka: z gliniarzami i ściągniętą na pomoc Gwardią Narodową. Nawet kiedy do Hope przybywa były dowódca Rambo - płk Samuel Trautman - ten nie chce odpuścić. Kończy się demolką miasteczka, ranieniem szeryfa i ostatecznie poddaniem się, choć na honorowych warunkach.

Nie jest wyjaśnione, kto zapłaci za doprowadzenie miasta do ruiny. Ale można się domyślać: skoro Rambo - choćby nawet w glorii bohatera - trafia do pudła, koszty naprawienia szkód, wezwania armii, leczenia szeryfa itd. poniosą mieszkańcy w podatkach. Co dowodzi, że starcie ideologii zawsze ma swoje realne konsekwencje.

W oparach analiz

Jako się rzekło, film odniósł wielki sukces, wywołując fale dyskusji, np. o roli państwa w resocjalizacji weteranów wojennych. Zaobserwowano też społeczne echa filmu: liczba ochotników do armii wzrosła, mężczyźni cywile zaczęli nosić wojskowe ciuchy, a każdy nastolatek sprawił sobie komandoski nóż à la Rambo, z ząbkowanym majchrem i nitką do szycia ran w rękojeści.

Równie wielki sukces film odniósł w demoludach. Na polskie ekrany trafił pod koniec lat 80., kiedy komuna chyliła się już ku upadkowi. Ale i tam propagandziści pisali z uciechą, że „Rambo uosabia ofiarę amerykańskiego imperializmu", która „nie potrafi znaleźć sobie miejsca w konsumpcyjnym społeczeństwie wyzbytym zasad moralnych" (cytat za „Żołnierzem Wolności").

„Rambo - pierwsza krew" był pierwszym z serii filmów o herosie z Wietnamu. Dotąd powstało ich cztery, coraz bardziej wymyślnych i coraz droższych. W „Rambo II" (1985) Stallone szuka zaginionych kolegów w dżungli Indochin, w „Rambo III" (1988) strzela do Ruskich w Afganistanie, w „Johnie Rambo" (2008) robi zadymę w Birmie, a w „Rambo: Ostatnia krew" (2019) wykańcza bandziorów z meksykańskiego kartelu.

Buñuel i Rambo

Na koniec fragment wywiadu prof. Piotra Kletowskiego dla „Polski Zbrojnej" z 2022 r. „Na czym polega istota filmów o Johnie Rambo? Otóż Rambo żyje tylko wtedy, kiedy walczy. (...) Żywiołem tego komandosa jest więc walka, co pięknie podkreśla slogan reklamowy Rambo II: »To, co dla innych jest piekłem, dla niego jest domem«".

Filmy o Rambo - zwłaszcza „Rambo II" - stały się ikonicznymi dla prezydentury Ronalda Reagana, który nazwał Rambo wzorem amerykańskiego żołnierza i ta ikona - ku utrapieniu władz komunistycznych - zdobyła sympatię i wielką popularność również za żelazną kurtyną. Wymownym tego przykładem jest wypowiedź Franciszka Starowieyskiego. Kiedy tego wielkiego malarza zapytano, jakie filmy ceni, to ten stwierdził, że właściwie kina nie ogląda prócz Buñuela i filmów z... Johnem Rambo, zwłaszcza drugą część.

Uzasadnił to zdumionemu rozmówcy tym, że w Rambo pierwszy raz zobaczył, jak Sowieci dostają baty od amerykańskiego komandosa, a on jako dziecko przeżył 17 września 1939 roku...

eprasa.pl 176856116b

Wiatr przeszkadzał Polakom, ale nie Prevcowi

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Domen Prevc wygrał sobotni konkurs Pucharu Świata w skokach narciarskich w Engelbergu. Kacper Tomasiak, najlepszy z Polaków, zajął 13. miejsce.

Wiatr nie był sprzymierzeńcem Biało-Czerwonych. W pierwszej serii znacznie utrudnił zadanie Kacprowi Tomasiakowi, naszemu najlepszemu obecnie zawodnikowi. Tylko czterech z pięćdziesięciu skoczków według oficjalnych danych startowało przy mocniej wiejącym w plecy wietrze. Najmłodszy członek naszej kadry uzyskał 125 metrów, ale mimo dużej rekompensaty wystarczyło to do zaledwie 22. lokaty na półmetku rywalizacji. Aura była dla niego znacznie łaskawsza w finałowej części zmagań, a dzięki skokowi na 133 metry i słabszych próbach dużej liczby rywali udało się awansować na 13. pozycję.

- Ten skok z pierwszej serii był chyba nawet trochę lepszy technicznie niż z drugiej, ale ciężko było odlecieć. Troszeczkę brakło, ale będzie jeszcze sporo okazji, by wszystko odpowiednio zgrało się z warunkami - ocenił po zawodach przed kamerami Eurosportu Tomasiak.

Do drugiej serii awansowali także Piotr Żyła (22. na półmetku, wspólnie z Tomasiakiem), a także Kamil Stoch (24. lokata). Obydwaj z kolei mieli pecha w finałowej części zawodów, tylko Japończycy Tomofumi Naito i Ren Nikaido skakali przy mocniejszym wietrze, ale dzięki sporej rekompensacie zdołali poprawić zajmowane lokaty. Pierwszy z nich zakończył rywalizację na 17. miejscu, drugi pięć lokat niżej.

- Przy pierwszym skoku warunki były rzeczywiście lepsze, a w drugim dusiło nad bulą. Punkciki jakieś są, a najważniejsze, że nie musiałem odpoczywać, tylko skakałem dwa razy - w swoim stylu skomentował sobotni występ w Engelbergu Żyła.

- Najgorsze jest przeskakiwanie - zróbmy to, a może tamto, aż w końcu sypie się wszystko. Dziś był kroczek do przodu. Była konsekwencja w trzymaniu się planu i jest lepiej. Pewnych rzeczy nie przyspieszę, pewne się zgubiły i trzeba je na nowo zbudować, a to trwa czasami - to z kolei słowa Kamila Stocha, trzykrotnego mistrza olimpijskiego.

FOT. PAP/EPA/URS FLUEELER

Sobotnie podium w Engelbergu: od lewej Felix Hoffmann, Domen Prevc i Ren Nikaido.

Przywileju dwukrotnego zasiadania na belce startowej nie mieli Maciej Kot i Dawid Kubacki. Pierwszy uplasował się na 36. pozycji, drugi został sklasyfikowany na 44. lokacie. Marnym dla nich pocieszeniem jest fakt, że z warunkami nie poradzili sobie i nie uzyskali awansu do drugiej serii tacy skoczkowie, jak Szwajcar Gregor Deschwanden, Bułgar Władimir Zografski, a także Austriacy Stephan Embacher i Manuel Fettner. Ostatni z wymienionych uzyskał tylko 116,5 m, co było najkrótszą odległością wśród sklasyfikowanych zawodników.

- Dzisiejsze wyniki były w miarę ok, ale zaskoczeniem na minus na pewno Dawid Kubacki, bo miał jasną wizję, co ma zrobić, wyszło to w serii próbnej, miał to powtórzyć, ale zepsuł skok - nie ukrywał Maciej Maciusiak, opiekun Biało-Czerwonych.

Na półmetku sobotniego konkursu liderem był Japończyk Ryoyu Kobayashi, który znacznie gorzej spisał się w drugiej serii i ostatecznie wylądował dopiero na szóstym miejscu. Zwyciężył, co powoli staje się normą, Domen Prevc, dla którego był to piąty triumf z rzędu. Słoweniec w finałowej części zmagań poszybował najdalej (142 m), niewiele ustępował mu jednak pod względem odległości drugi w konkursie Niemiec Felix Hoffmann (141 m). Podium uzupełnił Japończyk Ren Nikaido. ©℗

Wyniki PŚ w Engelbergu
Sobota: 1. Domen Prevc (Słowenia) 330,2 (138,5 i 142 m), 2. Felix Hoffmann (Niemcy) 326,4 (138 i 141 m), 3. Ren Nikaido (Japonia) 318,1 (141,5 i 129,5 m), 3. Philipp Raimund (Niemcy) 315,0 (138 i 135 m), 5. Jonas Schuster (Austria) 314,9 (139 i 134 m)... 13. Kacper Tomasiak (Polska) 295,7 (125 i 133 m), 17. Piotr Żyła (Polska) 287,3 (131,5 i 126,5 m), 22 Kamil Stoch (Polska) 283,4 (126,5 i 125 m), 36. Maciej Kot (Polska) 131,6 (122 m), 44. Dawid Kubacki (Polska) 122,9 (118,5 m).

Zmiana trenera niewiele pomogła. Polscy skoczkowie wciąż w dużym kryzysie

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

O trwającym w dalszym ciągu kryzysie w polskich skokach, talencie Kacpra Tomasiaka, czy zbliżającym się Turnieju Czterech Skoczni rozmawiamy z trenerem Kazimierzem Długopolskim.

Za nami pierwsza część sezonu, która dla Biało-Czerwonych była dosyć przeciętna. Liczył pan na więcej?
Wyniki są mizerne, ale nie przewidywałem, że będzie lepiej niż w poprzedniej edycji Pucharu Świata. Łudziliśmy się, że zmiana trenera coś zmieni, ale to też nic nie pomogło. Zresztą, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się cudów ze strony trenera Macieja Maciusiaka. Poza tym, już dawno temu mówiłem, że przyjdą suche lata, bo one musiały przyjść.

Dlaczego?
Kadra się zestarzała, wielu młodszych skoczków wykruszyło się trochę za wcześnie lub nie rozwinęło tak, jak oczekiwaliśmy. Zrobiła się duża wyrwa.

Mówi pan o większych oczekiwaniach wobec trenera Maciusiaka, ale przecież pojawił się prawdziwy brylant, Kacper Tomasiak.
Dobra postawa Kacpra to efekt jego pracy w poprzednim sezonie z trenerem Wojciechem Toporem. Jest obecnie najlepszy w naszej reprezentacji, dlatego musiał zostać powołany przez trenera Maciusiaka do pierwszej kadry i na zawody Pucharu Świata.

Tomasiak jest aktualnie najlepszym z Polaków w tym sezonie. Utrzyma tę dosyć dobrą formę w następnych miesiącach?
Uważam, że także w dalszej części sezonu będzie najlepszy z naszych reprezentantów. Jest nadzieją w dalekiej perspektywie, jego dobra postawa to nie są pojedyncze dobre konkursy. Z każdym rokiem robi postępy, rozwija się, idzie do przodu. Będzie jeszcze lepszy.

Co jest największym atutem Kacpra Tomasiaka?
Dynamika i duża moc w nogach. Poza tym, jest nieźle wyszkolony technicznie, choć oczywiście jest jeszcze trochę do poprawy, zwłaszcza przy lądowaniu. Matka Boska dała mu bardzo dużo talentu i on z tego korzysta.

FOT. PAP

Młodziak Kacper Tomasiak jest w tym sezonie najlepszym z Biało-Czerwonych w konkursach Pucharu Świata

Tyle dobrego nie można powiedzieć o pozostałych polskich skoczkach. Początek sezonu dawał nadzieję na niezłe skoki Kamila Stocha, ale im dalej w las, tym gorzej...
Kamil na takim poziomie ustatkował się już od trzech lat. Zajmuje miejsca w drugiej czy trzeciej dziesiątce, ale to nie jest jego cel. Myślę, że stawiał sobie wyższe cele, walkę chociażby o miejsca w pierwszej dziesiątce poszczególnych konkursów. Z taką formą, jaką prezentuje aktualnie, nie sądzę, aby w swoim ostatnim sezonie w karierze odniósł jakiś sukces.

Przed nami Turniej Czterech Skoczni, podczas którego reprezentacja Polski będzie desygnować nie sześciu skoczków, jak dotychczas w zawodach Pucharu Świata, a pięciu. Kogo zabrałby pan na konkursy w Niemczech i Austrii?
Zdecydowałbym się na Kacpra Tomasiaka, Kamila Stocha, Piotra Żyłę, Dawida Kubackiego i Pawła Wąska. Wydaje mi się, że z tej szóstki wypadnie Maciej Kot.

Podczas TCS Biało-Czerwoni mają szanse na dobry wynik?
Będzie bardzo trudno. Dodatkową trudnością jest fakt, że tutaj będzie się liczył każdy skok, także te w pierwszej serii. Nie mamy obecnie zawodników, którzy mogliby osiągać bardzo dobre rezultaty.

Za nieco ponad miesiąc igrzyska, na których wystąpi tylko trzech Polaków. Ma pan swoje typy, którzy z polskich skoczków na nie pojadą?
Myślę, że na igrzyskach na pewno wystąpi Tomasiak. Trudno jest wskazać nazwiska pozostałych, którzy powinni pojechać do Włoch. Przypuszczam, że trener Maciusiak zabierze tam jeszcze Stocha, dla którego to już będą ostatnie igrzyska w karierze. Trzeciego zawodnika nie odważę się dziś wytypować.

Kto ma na to największe szanse?
Sądzę, że Piotr Żyła. Jest nieobliczalny i gdy ma dobry dzień, potrafi zaskoczyć. Stać go na dobry wynik.

O medalach Polaków na skoczni w Predazzo możemy raczej tylko pomarzyć?
Marzyć i wierzyć trzeba zawsze, bo konkursy różnie się mogą ułożyć. Może się wydarzyć coś niespodziewanego, jak na przykład warunki pogodowe, które w danym momencie mogą sprzyjać Polakom.

Prowadził pan w swojej karierze wielu skoczków, był pierwszym trenerem chociażby Macieja Kota, Krzysztofa Miętusa czy Andrzeja Stękały. Dlaczego poza Tomasiakiem nie ma właściwie potencjalnych następców Adama Małysza czy Kamila Stocha?
Andrzej kompletnie się zagubił. Klemens Murańka nie rozwinął się tak jak powinien. Jest jeszcze kilka innych przykładów, niestety oni do wielkiego skakania już nie wrócą. Na szczęście poza Kacprem Tomasiakiem mamy jeszcze trochę talentów i myślę, że już niedługo do niego dołączą. Jest brat Kacpra, Konrad, czy Szymon Sarniak. ©℗

eprasa.pl 176856116b

Świątek dla Polska Press: - Jestem odświeżona

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Już tylko kilka dni zostało do pierwszego po dłuższej przerwie meczu Igi Świątek. W drugi dzień świąt Polka zagra w turnieju World Tennis Continental Cup w chińskim Shenzhen.

Zanim raszynianka wystąpi w Azji, zorganizowała w Warszawie wydarzenie „Droga do marzeń", spotkanie stypendystów z założoną przez siebie Fundacją. W stolicy wręczyła właśnie stypendia pięciu młodym sportowcom reprezentującym różne dyscypliny. Każdy otrzymał po 100 tysięcy złotych oraz gwarancje kompleksowej pomocy ekspertów przez najbliższe dwanaście miesięcy, począwszy od 1 stycznia 2026 roku.

- Chciałam stworzyć program, który realnie pomaga utalentowanym sportowcom na ich drodze. Zależało mi, aby nie było to tylko i wyłącznie wsparcie finansowe, ale także dostęp do wiedzy, ekspertów. Wiem z własnego doświadczenia, jak ważne są oba te elementy, zarówno na początku kariery, jak również w jej trakcie" - mówi Iga Świątek, założycielka Fundacji.

Polka niebawem rozpocznie nowy sezon. Oficjalnie stanie się to w styczniu, ale pierwszy mecz po przerwie wakacyjnej zagra już w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Iga wystąpi w meczu pokazowym przeciwko Jelenie Rybakinie w ramach cyklu World Tennis Continental Cup w chińskim Shenzhen. Wcześniej miejscowej publiczności zaprezentują się Belinda Bencić i Xinyu Wang.

W swoim drugim meczu, w nocy z piątku na sobotę czasu polskiego, podopieczna belgijskiego trenera Wima Fissette'a zagra z Chinką Xinyu Wang, a na koniec zmagań, 28 grudnia zagra w mikście u boku Valentina Vacherota. Ich rywalami będą Rybakina i Andriej Rublow.

- Jestem trochę odświeżona dzięki temu, że spędziłam w domu więcej czasu niż zazwyczaj. Mam nadzieję, że okres przygotowawczy spowoduję, że w nowym sezonie będę grała dobrze, solidnie i że nauczę się czegoś nowego. Wiadomo, trzy tygodnie w sporcie na naukę czegoś nowego to nie jest dużo, jednak wierzę, że w trakcie sezonu będziemy szlifować to, nad czym pracujemy teraz - mówi dla Polska Press Iga Świątek.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Do nowego sezonu Świątek przystąpi wypoczęta. Podczas świąt zagra w Chinach

2025 rok Polka zakończyła na pozycji wiceliderki rankingu WTA. W minionym sezonie wygrała Wimbledon, awansowała też do półfinałów w Australian Open i Roland Garros. Naszą najlepszą tenisistkę zapytaliśmy również o plany na 2026 rok.

- Na razie nie stawiam sobie celów wynikowych. Myślę, że dopiero, kiedy pojadę do Sydney i zobaczę, jak mój tenis będzie wyglądać, pomyślę o tym, co chciałabym osiągnąć w kolejnych turniejach. Koncentruję się na tym, aby rozwinąć się pod kątem technicznym i samej gry w tenisa oraz żeby zrobić rzeczy, na które nie miałam czasu w sezonie - powiedziała nam Iga Świątek.

Po turnieju w Chinach Iga Świątek przeniesie się do Australii, gdzie weźmie udział w zmaganiach United Cup w barwach reprezentacji Polski. To będzie już czwarta edycja tych rozgrywek. Zawody rozegrane zostaną w dniach od 2 do 11 stycznia w Perth i Sydney. Oprócz Świątek w Australii w polskiej kadrze zagrają także Katarzyna Kawa, Katarzyna Piter, Hubert Hurkacz, Daniel Michalski i Jan Zieliński. Biało-Czerwoni trafili do grupy F w Sydney razem z reprezentacjami Niemiec oraz Holandii. Polacy rozpoczną zmagania w czwartym dniu turnieju - w poniedziałek 5 stycznia meczem z naszymi zachodnimi sąsiadami. Zmagania mają rangę WTA 500 i ATP 500, a do wygrania będzie 17 milionów dolarów.

Tuż po United Cup rozpocznie się Australian Open. Dla Świątek będzie to najważniejsza impreza pierwszej części, a może nawet całego sezonu. To jedyny turniej wielkoszlemowy, którego 24-latka nie ma jeszcze w swojej kolekcji. Turniej rozegrany zostanie od 12 stycznia do 1 lutego. ©℗

Ruszył Puchar Narodów Afryki. Z piłkarzami z naszej ekstraklasy i wielkich lig

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

W 2004 roku Maroko zagrało po raz ostatni w finale Pucharu Narodów Afryki i wówczas przegrało z gospodarzem turnieju - Tunezją 1:2. Na złoto kibice „Lwów Atlasu" czekają dłużej, bo od 1976 roku.

Reprezentację Maroka prowadził wtedy Rumun Virgil Mardarescu, ale można to nazwać futbolową prehistorią.

Tym razem od Marokańczyków goszczących na przełomie lat 2025 i 2026 wielką imprezę wymaga się triumfu, są faworytem zawodów, jednak konkurencję mają mocną.

Maroko cieszy się, że do zdrowia powróciła największa gwiazda zespołu - Achraf Hakimi, ważne ogniwo zespołu, który w 2022 roku zajął czwarte miejsce na mundialu i kadry olimpijskiej, brązowych medalistów igrzysk 2024.

Marzeniem wspaniałego prawego obrońcy aktualnie Paris SG, wcześniej innych wielkich klubów - Realu Madryt, Borussii Dortmund, Interu Mediolan, jest triumf w Pucharze Narodów Afryki.

- Czuję się dobrze. Realizuję przygotowany dla mnie program. Po kontuzji kostki byłem przerażony, bo nie chciałem opuścić tego Pucharu Narodów, który organizujemy. Moje miejsce jest z zespołem. Nie wiem, kiedy trener ze mnie skorzysta, ale jestem gotowy - mówi Hakimi, najlepszy piłkarz roku 2025 w Afryce, który weźmie udział w prestiżowej imprezie po raz trzeci.

Na poprzednich edycjach musiał przełknąć gorzkie pigułki - w 2022 roku Maroko zatrzymało się na ćwierćfinale z Egiptem, a w 2025 już w 1/8 finału zostało wyeliminowane przez Republikę Południowej Afryki, zaś Hakimi nie wykorzystał rzutu karnego. - Nasze rozczarowanie jest ogromne, liczyliśmy na zwycięstwo w całym turnieju - powiedział po odpadnięciu z imprezy Walid Regragui, selekcjoner kadry Maroka, zajmujący eksponowane stanowisko od 31 sierpnia 2022 roku.

Po niepowodzeniu na boiskach Wybrzeża Kości Słoniowej nie było mowy o jego zwolnieniu, bo przecież to z nim Lwy Atlasu zrobiły furorę w Katarze, eliminując z mundialu Hiszpanię i Portugalię i kończąc zmagania na czwartym miejscu, najwyższym w dziejach afrykańskiego futbolu. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Dziś Maroko liczy się w kategoriach młodzieżowych (w tym roku triumf kadry

FOT. PAP/JAKUB KACZMARCZYK

W maju tego roku piłkarz Legii Warszawa - Steve Kapuadi zadebiutował w kadrze Demokratycznej Republiki Kongo

U-20 w finałach MŚ w Chile i ćwierćfinał zespołu U-17 w finałach MŚ w Katarze), a jak wiadomo apetyt rośnie w miarę jedzenia. Na swoim terenie ekipa Regragui po prostu musi wywalczyć złoto, a piłkarze zdają sobie sprawę, jaka presja na nich ciąży.

- Mamy jeden cel - podkreśla Hakimi, który ma znakomitych kompanów. Obrońca Paris SG rozegrał w drużynie narodowej 88 meczów, defensor Roman Saiss (Al-Sadd) ma 85, napastnik Youssef En-Nesyri (Fenerbahce) 85, bramkarz Yassine Bounou (Al-Hilal) 80, pomocnik Sofyan Amrabat (Betis) 70.

Maroko ma składzie na obecny PNA piłkarzy z klubów Anglii, Hiszpanii, Włoch, Niemiec i Francji, wystarczy wspomnieć jeszcze o takich postaciach, jak Noussair Mazraoui (Manchester United), Brahim Diaz (Real Madryt), Nayef Aguerd (Olimpique Marsylia). - Maroko to faworyt turnieju, ale w Afryce życie faworyta nie należy do łatwych - mówi Henryk Kasperczak, ceniony polski szkoleniowiec.

Legenda Orłów Kazimierza Górskiego z Wybrzeżem Kości Słoniowej zajęła 3. miejsce w PNA 1994, z Tunezją 2. miejsce w PNA 1996 i osiągnęła ćwierćfinał w 1998, z Mali 4. miejsce w 2002, nie wyszło z Senegalem w 2015 (odpadnięcie w grupie i zwolnienie) i tak sobie poszło znów z Tunezją w 2017 - ćwierćfinał. Henry - bo tak nazywają Kasperczaka na Czarnym Lądzie - zdobył sobie tam ogromny szacunek.

Prowadził afrykańskie zespoły łącznie w 30 meczach (12-7-11), lecz nie udało mu się spełnić największego marzenia - wygrać tak uwielbiany na Czarnym Lądzie turniej.

Bliski triumfu w Pucharze Narodów Afryki był jako zawodnik polskiego klubu Prejuce Nakoulma w 2013 roku. Wówczas piłkarz Górnika Zabrze dostał się z Burkina Faso do finału, w którym w Johannesburgu lepsza okazała się Nigeria. Z Górnika Nakoulma trafił do Turcji, potem grał we Francji, m.in. w Nantes.

Teraz z ekstraklasy na marokański czempionat dostało się dwóch zawodników - Steve Kapuadi z Legii Warszawa jest w kadrze Demokratycznej Republiki Kongo, a Iban Salvador z Wisły Płock w Gwinei Równikowej. DRK Kongo zalicza się nawet do grona faworytów, po zakończonych sukcesem barażach z Kamerunem i Nigerią.

Za dobry omen zespół Sebastiana Desabre uważa fakt, że baraże miały miejsce w Maroku, a 49-letni trener broni honoru francuskiej piłki. Najwięcej szkoleniowców spoza Czarnego Lądu ma w marokańskich zawodach Belgia - 3, ale widać tendencję stawiania na afrykańskich trenerów. Dostęp do wiedzy, możliwości rozwoju są teraz o niebo lepsze niż 10, 20 lat temu.

Wielu tamtejszych szkoleniowców kształciło się w Europie i z powodzeniem to pożytkuje. Puchar Narodów Afryki stał się globalną imprezą, wzbudza zainteresowanie klubów z innych kontynentów, pokazywany jest wszędzie w telewizji i ma piękną otoczkę.

Afryka to kontynent piłkarsko nieprzewidywalny, a najlepszym potwierdzeniem tego był poprzedni PNA - mistrzostwo zdobyło Wybrzeże Kości Słoniowej, które w trakcie zawodów zwolniło trenera, a z grupy wyszło niesłychanym fartem, potem padali faworyci z Marokiem na czele. ©℗

eprasa.pl 176856116b

Norweski „Terminator" nie do zatrzymania

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PREMIER LEAGUE. **Piłkarze Arsenalu Londyn - po golu Szweda Viktora Gyökeresa - pokonali na wyjeździe Everton 1:0 i po pięciu godzinach wrócili na prowadzenie w angielskiej ekstraklasie.**

Drugi w tabeli Manchester City pokonał West Ham United 3:0. Wygrywając z drużyną Łukasza Fabiańskiego, piłkarze trenera Josepa Guardioli wywarli presję na Arsenalu, który w ostatnich tygodniach stracił kilka punktów i z mozołem wypracowaną na początku sezonu przewagę nad ligowymi rywalami.

Ale w sobotę londyńczycy stanęli na wysokości zadania, choć nie zachwycili. Jedynego gola uzyskał Viktor Gyökeres z rzutu karnego w 56. minucie. To piąte ligowe trafienie Szweda, za którego Arsenal latem zapłacił ponad 60 000 000 euro.

Pod koniec roku lepsze wrażenie sprawia jedenastka z Manchesteru, a wygrana z „Młotami" była już jej piątą z rzędu w Premier League.

Dwa z trzech goli uzyskał Norweg Erling Haaland i z 19 trafieniami - w 17 występach - jest zdecydowanym liderem klasyfikacji strzelców.

W tym sezonie dla angielskiego zespołu zdobył już 25 bramek. Natomiast w połowie czwartego sezonu w Premier League jego bilans to 104 bramki w 114 spotkaniach. To o jedną więcej niż w barwach Manchesteru United odnotował słynny Cristiano Ronaldo, ale Portugalczyk potrzebował do tego 236 gier.

Łącznie z Ligą Mistrzów i Pucharem Ligi w Anglii „Obywatele" wygrali ostatnich siedem meczów.

- Powiedziałem piłkarzom: „Wesołych świąt, ale to, co prezentujecie, nie wystarczy, jeśli się nie poprawicie". Dobrze być na szczycie tabeli, ale musimy grać lepiej, bo inaczej w marcu czy kwietniu nie będzie nas wśród pretendentów do tytułu - podkreślił Guardiola i wyraził nadzieję, że jeżeli piłkarze zaakceptują jego koncepcję, to ekipa City będzie jeszcze groźniejsza.

Jak dodał, widzi jednak, że w porównaniu z poprzednim sezonem do drużyny wrócił odpowiedni duch i głód gry.

- Duch jest. W zeszłym sezonie brakowało tego ducha, ale też wynikających z tego agresji i głodu gry. To pochodzi z wnętrza zespołu i teraz to bez wątpienia widzę - ocenił.

Po dużym kryzysie właściwy rytm odzyskuje Liverpool. Obrońcy tytułu pokonali w Londynie Tottenham Hotspur 2:1 po golach letnich nabytków - Alexandra Isaka i Hugo Ekitike.

W przypadku Francuza ostatnie trzy ligowe występy to jego pięć trafień, choć w sobotę wielu obserwatorów widziało wcześniej jego faul. Z kolei Szwed, który wszedł do gry od początku drugiej połowy, zdobył co prawda bramkę, ale z powodu kontuzji opuścił boisko już po kwadransie.

Złych wieści dla ekipy trenera Arne Slota jest więcej, gdyż do końcowego gwizdka nie dotrwał też wprowadzony do gry za Isaka rekonwalescent Jeremie Frimpong. ©℗

PREMIER LEAGUE

17. kolejka: Newcastle United - Chelsea 2:2 (Woltemade 4, 20 - James 49, Joao Pedro 66), **Bournemouth - Burnley 1:1** (Semenyo 67 - Broja 90), **Brighton & Hove Albion - Sunderland 0:0, Manchester City - West Ham 3:0** (Haaland 5, 69, Reijnders 38), **Wolverhampton Wanderers - Brentford 0:2** (Lewis-Potter 63, 83), **Tottenham - Liverpool 1:2** (Richarlison 83 - Isak 56, Ekitike 66), **Everton - Arsenal 0:1** (Gyökeres 27), **Leeds - Crystal Palace 4:1** (Calvert-Lewin 38, 45+4, Ampadu 60, Stach 90+11 - Devenny 90+2).

Mbappe wyrównał rekord CR7

Jacek Kmiecik
redakcja@polskapress.pl

LALIGA. **Francuski napastnik Realu Madryt Kylian Mbappe uświetnił swoje urodziny golem strzelonym Sevilli na 2:0, czym wyrównał bramkowy rekord legendarnego Cristiano Ronaldo.**

FOT. EPA/PAP

Kylian Mbappe świętuje gola strzelonego Sevilli w stylu „Siuuu" swojego idola, legendarnego Cristiano Ronaldo

Kylian Mbappe strzelił swojego 59. gola dla Realu Madryt w 2025 roku, w wygranym 2:0 meczu z Sevillą w 17. kolejce LaLiga. Francuz celebrował gola, zdobytego w swoje urodziny, w charakterystycznym stylu „Siuuu" Cristiano Ronaldo, bowiem powtórzył rekord liczby 59 bramek w roku kalendarzowym Portugalczyka w „Los Blancos" z 2013 roku.

Mbappe komentując swój wyczyn, zauważył, że Cristiano Ronaldo jest dla niego nie tylko idolem, ale także przyjacielem, który pomógł mu zaadaptować się w Madrycie. Celebracja po strzeleniu gola była dedykowana specjalnie dla Portugalczyka.

– Cristiano jest moim przyjacielem i idolem. Uroczystość była poświęcona jemu. Cristiano pomógł mi się tu zaaklimatyzować. Chcę mu złożyć najserdeczniejsze życzenia, wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku. Dużo rozmawialiśmy. Było miło. Mam własną uroczystość, ale chciałem zadedykować tę bramkę specjalnie jemu – zacytował Mbappe włoski influencer Fabrizio Romano w mediach społecznościowych.

Mbappe strzelił gola z rzutu karnego w 86. minucie ostatniego meczu Realu w 2025 roku. 27-letni Kylian w mijającym roku będzie miał na swoim koncie 66 bramek zdobytych dla „Los Blancos" i reprezentacji Francji. W 2025 roku Mbappe strzelił 59 goli dla klubu i 7 dla „Les Bleus".

Francuz mógł ustanowić nowy rekord goli dla Realu w jednym roku kalendarzowym. W 89. minucie meczu z Sevillą sędzia podyktował kolejny rzut karny za faul na Jude Bellinghamie, ale w 90. minucie arbiter zmienił decyzję po interwencji VAR i tym samym pozbawił Mbappe samodzielnego rekordu bramkowego.

Kylian powiększył przewagę nad atakującym Barcelony Ferranem Torresem w wyścigu o Trofeo Pichichi dla najlepszego strzelca ligowego; Francuz ma już na koncie 18 bramek w lidze w bieżącym sezonie przy 11 trafieniach „Rekina" z „Blaugrany". ©℗

LALIGA

17. kolejka: Valencia - Real Mallorca 1:1 (Duro 52 - Samu Costa 23), **Real Oviedo - Celto Vigo 0:0, Levante - Real Sociedad San Sebastian 1:1** (Dela 80+4 karny - Kubo 45+1), **Osasuna Pampeluna - Deportivo Alaves 3:0** (Budimir 72, 81,Garcia 90+3), **Real Madryt - Sevilla 2:0** (Bellingham 38, Mbappe 86 karny; czerwona kartka: Sevilla - Almeyda 45+4 poza boiskiem, Marcao 68).
Prowadzi Barcelona z 43 punktami (mecz mniej) przed Realem Madryt - 42 pkt i Villarrealem - 35 pkt (dwa mecze mniej). Tabelę zamyka Levante - 10 pkt.

RB Lipsk znów zawiódł, Dortmund za plecami Bayernu

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

BUNDESLIGA. **RB Lipsk przestał pełnić rolę najgroźniejszego rywala Bayernu Monachium w sezonie 2025-26. W sobotę przegrał kolejny mecz, tym razem z Bayerem Leverkusen.**

Listopad i grudzień z pewnością nie były udane dla ekipy dowodzonej przez Ole Wernera. Jego podopieczni wygrali jedynie dwa z sześciu ostatnich ligowych spotkań, tracąc punkty w starciach m.in. z Unionem Berlin, Borussią Moenchengladbach i Hoffenheim. Z pierwszym i trzecim z wymienionych rywali przegrał po 1:3, a wynik ten najwyraźniej spodobał się graczom z Lipska, w sobotę w identycznym stosunku ulegli bowiem na własnym obiekcie Bayerowi.

Potyczka rozpoczęła się lepiej dla gospodarzy, którzy w 35. minucie objęli prowadzenie po golu Xavera Schlagera. Nim jednak zabrzmiał gwizdek oznajmujący koniec pierwszej części gry, padły kolejne dwa gole – obydwa dla Aptekarzy. Próby doprowadzenia do wyrównania nie przyniosły zamierzonych efektów, a w siódmej minucie doliczonego czasu gry przyjezdni trafili po raz trzeci i to oni mogli cieszyć się z trzech punktów, dzięki którym awansowali na trzecią pozycję, wyprzedzając sobotniego rywala.

Najbliżej liderujących Bawarczyków po zwycięstwie z Moenchengladbach znajduje się obecnie Borussia Dortmund, która, biorąc pod uwagę sporą stratę do Bayernu, chyba na razie powinna skupić się na walce o utrzymanie lokaty. ©℗

BUNDESLIGA

14. kolejka: Borussia D. - Borussia M. 2:0 (Brandt 10, Beier 90+7), **Augsburg - Werder 0:0, RB Lipsk - Bayer 1:3** (Schlager 35 - Terrier 40, Schick 44, Culbreath 90+7), **Koeln - Union 0:1** (Schafer 90+1), **Hamburg - Eintracht 1:1** (Lokonga 19 - Larsson 26), **Stuttgart - Hoffenheim 0:0, Wolfsburg - Freiburg 3:4** (Pejcinovic 13, 49 i 69 - Treu 5, Grifo 56, Seelt 71 sam, Scherhant 78)., **Mainz - St. Pauli 0:0.**

Czwartoligowiec sprawił niespodziankę

Łukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

PUCHAR FRANCJI. **W ostatni przedświąteczny weekend zamiast kolejki Ligue 1 rozegrano mecze 1/32 finału Pucharu Francji.**

Faworyci potyczek z reguły z większymi lub mniejszymi problemami radzili sobie z niżej notowanymi przeciwnikami. Do kolejnej rundy awans wywalczyli m.in. PSG, Lens, Metz czy Paris FC. Wymęczone zwycięstwo z czwartoligowym US Lusitanos, po golu strzelonym w 80. minucie przez Mariusa Broholma, odnieśli także gracze Lille. Nie oznacza to jednak, że kibice nie byli świadkami żadnej niespodzianki.

Zawód fanom sprawili gracze Stade Brest, którzy jeszcze w poprzednim sezonie grali w Lidze Mistrzów. Klub nieoczekiwanie został wyeliminowany przez czwartoligowy US Avranches. Mowa nie o żadnej czołowej drużynie tego poziomu rozgrywkowego, ale o średniaku, zajmującym w jednej z trzech grup ósmą pozycję i mającym na koncie aż pięć porażek.

Zadanie gospodarzom ułatwiła czerwona kartka dla gracza Brest - Juliena Le Cardinala, którą ów zawodnik obejrzał już w 21. minucie meczu.Trzy minuty później Nassim Sabihi dał Avranches prowadzenie, goście szybko jednak wyrównali. Zwycięzcę wyłoniła seria jedenastek, którą lepiej wykonywali czwartoligowcy (5:4) i sensacja stała się faktem. Palców w niej nie maczał Radosław Majecki (Brest), który przesiedział mecz na ławce. ©℗

Arkadiusz Milik wraca na włoskie boiska

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SERIE A. **W szlagierze 16. kolejki włoskiej ekstraklasy piłkarskiej Juventus Turyn wygrał na „Allianz Stadium" z AS Roma 2:1. W drużynie gości cały mecz rozegrał nasz Jan Ziółkowski.**

Na pierwszy występ od ponad półtora roku musi niestety jeszcze poczekać Arkadiusz Milik, który w sobotę był rezerwowym. Do kadry Juventusu na mecz ligowy wrócił po 574 dniach...

„Stara Dama" objęła prowadzenie tuż przed przerwą, po golu Portugalczyka Francisco Conceicao. Na 2:0 podwyższył Belg Lois Openda, a goście odpowiedzieli tylko jednym golem - Tommaso Baldanziego.

W sobotnim szlagierze nie zagrał Milik, choć jego obecność wśród rezerwowych i tak jest wydarzeniem. 32-letni napastnik, którego karierę przerywają poważne kontuzje, po raz ostatni wystąpił w barwach Juventusu 25 maja 2024 roku. Dwa tygodnie później reprezentant Polski doznał kontuzji kolana już na początku towarzyskiego spotkania z Ukrainą w Warszawie, jednego z ostatnich sprawdzianów przed Euro w Niemczech. Uraz wykluczył go z gry w turnieju.

Mimo kontuzji Milik przedłużył w tym roku kontrakt z „Juve". Polak ma pensję podstawową w wysokości ok. 2 240 000 euro brutto... ©℗

SERIE A

16. kolejka: Juventus - AS Roma 2:1 (Conceicao 44, Openda 70 - Baldanzi 75), **Lazio - Cremonese 0:0, Cagliari - Pisa 2:2** (Folorunsho 59, Kilicsoy 71 - Tramoni 45 k, Moreo 89)., **Sassuolo - Torino 0:1** (Vlasić 66 k).

eprasa.pl 176856116b

Maciej Żurawski: - Nasze kluby przed dużą szansą

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

Maciej Żurawski, 72-krotny reprezentant Polski, komentuje mecze piłkarskie. W Ołomuńcu był świadkiem zwycięstwa Lecha Poznań z Sigmą w Lidze Konferencji.

Jak oceniasz występy polskich zespołów w fazie ligowej Ligi Konferencji 2025/2026?

Maciej Żurawski: Lecha na pewno było stać na większą zdobycz punktową, a przegraną z Lincoln nazywam pomyłką. Nie chciałbym się nawet na temat wyjazdu do Gibraltaru rozwodzić, w piłce nożnej dzieją się takie rzeczy, których nie da się pojąć. Na pewno Lech mógł wywalczyć przynajmniej punkt na Rayo, prowadził w Madrycie 2:0. Zwycięstwem w Ołomuńcu z Sigmą poznaniacy poprawili sytuację, a 11 punktów to niezłe osiągnięcie. W Czechach Lech powinien wygrać okazalej, sam zafundował sobie nerwową końcówkę, nie strzelając karnego przy prowadzeniu 2:0 i drżał, gdy gospodarze uzyskali kontaktowego gola. W drugim półroczu 2025 Kolejorz miewał wahania formy, ale wpływ na to miały problemy kadrowe wynikające z kontuzji. Jedni wypadali, inni wracali, tak w kółko, ale sumując, nie da się nie zauważyć, że zespół Nielsa Frederiksena pozostał w grze na trzech frontach. W ekstraklasie nie jest za wysoko w tabeli, lecz traci cztery oczka do lidera, mając mecz zaległy. W Pucharze Polski czeka na ćwierćfinał, a w Lidze Konferencji na 1/8 finału. Wszystkie cele na jesień zostały zrealizowane. Jagiellonia dojrzalsza na arenie międzynarodowej też dostała się do tej samej fazy Ligi Konferencji i nie jest bez szans w walce o 1/8 finału, nawet gdyby przyszło jej się mierzyć z Fiorentiną. W najlepszej szesnastce zameldował się Raków, który może nie gra efektownie, ale na pewno efektywnie. Kto przed sezonem liczył, że po fazie ligowej europejskich pucharów na placu boju zostanie nam tercet przedstawicieli, a jeszcze w tym gronie zabraknie Legii? Naprawdę nie mamy co narzekać.

Ten sezon Legii można określić słowem „blamaż"?

FOT. PAP/EPA

Raków Częstochowa zajął drugie miejsce w fazie zasadniczej Ligi Konferencji

Trudno wymagać od Legii, będącej w strefie spadkowej ekstraklasy, sukcesów na arenie międzynarodowej. Teraz jestem ciekaw, jak Marek Papszun to poukłada.

Legia sama zawiesiła sobie wysoko poprzeczkę w poprzednim sezonie, kiedy dotarła do ćwierćfinału Ligi Konferencji. Od tego czasu w klubie, drużynie z Łazienkowskiej nie działo się najlepiej, a jak jest cały czas zamieszanie, musiało się odbić na rezultatach.

Raków bez Papszuna stać na półfinał Ligi Konferencji?

Wyniki Rakowa nie są dziełem przypadku. Ten klub wyrobił sobie markę, ma już doświadczenie w pucharach i nie dziwią duże aspiracje. W fazie ligowej Raków zaimponował, wyprzedził go tylko Strasbourg. Nowy trener stoi przed wielką szansą, może w spokoju przygotowywać drużynę do 1/8 finału, gdzie też są w stanie przebić się Lech i Jagiellonia, najbardziej poukładana polska ekipa. Drużyna Adriana Siemieńca nie musi się bać Fiorentiny, tak zawodzącej w Serie A. Lech jest chimeryczny, ale drzemie w nim ogromny potencjał. Wiadomo, że im dalej w takich rozgrywkach jak Liga Konferencji, tym bardziej skala trudności rośnie, ale nasze kluby są w stanie powalczyć nawet o triumf w rozgrywkach. W tym sezonie nie ma takich przeciwników jak Chelsea, każdy chce skorzystać.

Wisła Kraków z czasów, kiedy eliminowała w Pucharze UEFA Parmę i Schalke, byłaby w stanie triumfować w takiej obecnej Lidze Konferencji?

Trochę lat minęło od pamiętnych bojów z Parmą, Schalke, Lazio, futbol ewoluował, ale kibice cały czas pozytywnie wyrażają się o Wiśle Henryka Kasperczaka. My wtedy mogliśmy zajść bardzo daleko, po remisie w Rzymie z Lazio 3:3 uznawano nas za faworyta rewanżu, niestety pechowo przegraliśmy w Krakowie 1:2. Teraz możemy sobie gdybać, zastanawiać się nad błędami bramkarza Wisły, który miał słabszy dzień, ale historii się już nie zmieni. ©℗

Zmiany, zmiany, zmiany. Końca nie widać. Rewolucja grudniowa w stołecznej Legii

Jacek Czaplewski
redakcja@polskapress.pl

- Jestem wzruszony - tymi słowami Marek Papszun przywitał się ze społecznością Legii Warszawa. Dla drużyny będącej w głębokim kryzysie porzucił Raków Częstochowa.

- Hej Marek, sprzątnij ten burdel - apelowali nieliczni kibice Legii Warszawa obecni na pożegnalnym meczu drużyny w Lidze Konferencji.

Słowa adresowali do nieobecnego jeszcze na stadionie Marka Papszuna, który w tym samym czasie żegnał się z Rakowem wygraną na Cyprze. Następnego dnia był już Warszawie...

Zamienił dres na garnitur, by na powitalnej konferencji opowiedzieć, jak planuje wydobyć Legię z kryzysu. Otrzymał gwiazdorski kontrakt do połowy 2028 roku i dużą władzę, wykraczającą poza kompetencje przeciętnego szkoleniowca. Ma bowiem mieć wpływ również na kształt kadry.

W cień postanowił się za to usunąć krytykowany zewsząd prezes Dariusz Mioduski. Właściciel Legii nie zrezygnował ze stanowiska, ale do zarządzania oddelegował Marcina Herrę. Wiceprezes obecny na spotkaniu z mediami nie zdobył się na przeprosiny w kontekście zawalonej jesieni. Nie zrobił tego również jego przełożony cytowany w komunikacie obwieszczającym ściągnięcie Papszuna. - Wiem, co mam robić. Dariusz Mioduski będzie dalej w zarządzie, ale wszystkie decyzje formalne podejmował będę ja - tłumaczył dziennikarzom Herra.

Rodowity warszawiak

Przed Markiem Papszunem bardzo trudne zadanie, ponieważ Legia jest na przedostatnim miejscu w tabeli PKO Ekstraklasy. Jej strata do lidera wynosi aż 11 punktów. Poza tym odpadła nie tylko z Ligi Konferencji, ale i Pucharu Polski. Sam trener mówi, że uniknięcie spadku to jego pierwszy cel.

51-latek jest pierwszym od 2007 roku trenerem Legii urodzonym w Warszawie.

- Trudno mi wyrazić moje uczucia. Szczęśliwy to za mało. Jestem wzruszony, że zostałem trenerem Legii. Z tym klubem, z tym miastem, wiąże mnie bardzo dużo. Tu się urodziłem, tu toczyło się moje życie. Wiem, jaka czeka mnie odpowiedzialność. Ten klub, jego kibice, zasługują na dużo więcej. Pierwszy cel to odbudowanie

FOT. ADAM JANKOWSKI/POLSKA PRESS

Nowy trener Legii Warszawa - Marek Papszun (z lewej) w towarzystwie wiceprezesa klubu - Marcina Herry

zaufania. A dalej, krok po kroku, wejście na należyty poziom - powiedział Papszun.

Nowy trener weźmie piłkarzy stołecznej Legii w obroty dopiero 4 stycznia, bo wtedy drużyna wróci do zajęć po przerwie świąteczno-noworocznej.

W planach jest m.in. zgrupowanie w andaluzyjskiej miejscowości Mijas i cztery sparingi. Oficjalny debiut trenera nastąpi 1 lutego w „domowym" meczu z Koroną Kielce.

- Musimy zakasać rękawy i wziąć się do roboty - podkreślił Marek Papszun podczas oficjalnej prezentacji w roli trenera Legii Warszawa.

51-latek podpisał kontrakt obowiązujący do końca sezonu 2027/2028.

- Dziękuję pionowi sportowemu za zaufanie oraz cierpliwość i determinację. Cieszę się, że mogę tu być. Jestem wzruszony, że zostałem trenerem Legii. W Warszawie się urodziłem. Tu się wychowałem i jestem bardzo związany z tym miastem - oświadczył Papszun.

Legia jest w trudnej sytuacji, gdyż po rundzie jesiennej zajmuje dopiero 17. miejsce w ekstraklasie. Odpadła już z Pucharu Polski i Ligi Konferencji.

Jednocześnie warszawski klub poinformował o zmianach w zarządzie od nowego roku. Będzie on dwuosobowy - już bez Jarosława Jurczaka, który obejmie funkcję w strukturach właścicielskich. Pełną odpowiedzialność za zarządzanie przejmie Marcin Herra.

W tabeli ekstraklasy Legia jest na przedostatniej pozycji z 19 punktami. Z Pucharu Polski odpadła w 1/16 finału.

Hojność właścicielska

Na dobre rozkręciły się za to zimowe transfery. Na rynku szaleje zwłaszcza Widzew Łódź dysponujący największym budżetem dzięki hojności swojego właściciela Roberta Dobrzyckiego. Piętnasty zespół ligowej tabeli już wyśrubował nowy rekord, wydając aż 5 500 000 euro na skrzydłowego Osmana Bukariego z amerykańskiego FC Austin. Ghańczyk ma zrobić różnicę, tak jak w środku 32-letni Lukas Lerager ściągnięty z duńskiej FC Kopenhagi.

- Fantastyczny ruch - ocenił już Zbigniew Boniek, który stara się doradzać ukochanemu klubowi.

Ruchy kadrowe

Łódzki Widzew dokonał w sumie aż trzech wzmocnień i na nich nie poprzestanie. Media donoszą o zainteresowaniu Polakami kojarzonymi z reprezentacją.

W bramce mógłby stanąć sam Bartłomiej Drągowski, defensywą pokierować Tomasz Kędziora, a na drugim skrzydle, o gole i asysty mógłby zadbać Przemysław Płacheta. Temu ostatniemu jest ponoć najbliżej do łodzian.

Pierwszego transferu dokonała walcząca o utrzymanie Arka Gdynia. Do drużyny beniaminka dołączył 30-letni napastnik rodem z Łotwy - Vladislavs Gutkovskis występujący ostatnio w lidze... południowokoreańskiej (Daejeon Hana Citizen).

Wcześniej z powodzeniem grał w Polsce, dla Rakowa Częstochowa, świętując z nim nawet dwa lata temu tytuł mistrzowski. ©℗

eprasa.pl 176856116b

MAGAZYN

SPORTOWY

TYGODNIK

Opera mydlana z przejściem trenera Marka Papszuna z Rakowa Częstochowa do Legii Warszawa wreszcie dobiegła końca STR. 2

FOT. ADAM JANKOWSKI

Papszun wylądował na Łazienkowskiej

IGA ŚWIĄTEK ZAŁOŻYŁA FUNDACJĘ I UJAWNIŁA PLANY NA POCZĄTEK ROKU STR. 21

Maciej Żurawski wróży polskim klubom szaloną wiosnę w Lidze Konferencji STR. 23

Polacy w Engelbergu przyczajeni przed Turniejem Czterech Skoczni STR. 20

eprasa.pl 176856116b